Nr 6 (30)
ROK II

TYDZIEŃ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

9. II. 1947 r.
Cena 12 zł



DZIŚ W NUMERZE: AMBITNA DROGA ANDERSA

Film TYGODNIA



Państwowe Żeńskie Liceum Przemysłu Odzieżowego liczy obecnie 200 uczennic. Po ukończeniu trzyletniego kursu absolwentki otrzymują świadectwo dojrzałości i prawa mistrza. (Film Polski)



Tak wygląda dziś była rezydencja Leista z okresu okupacji, pałac Blanka w Warszawie. (fot. J. Plażewski)

NASZA OKŁADKA



W parku Ujazdowskim w Warszawie. (Film Polski)



W roku bieżącym około 50 fachowych mistrzyń krawieckich ukończy Liceum. (Film Polski)



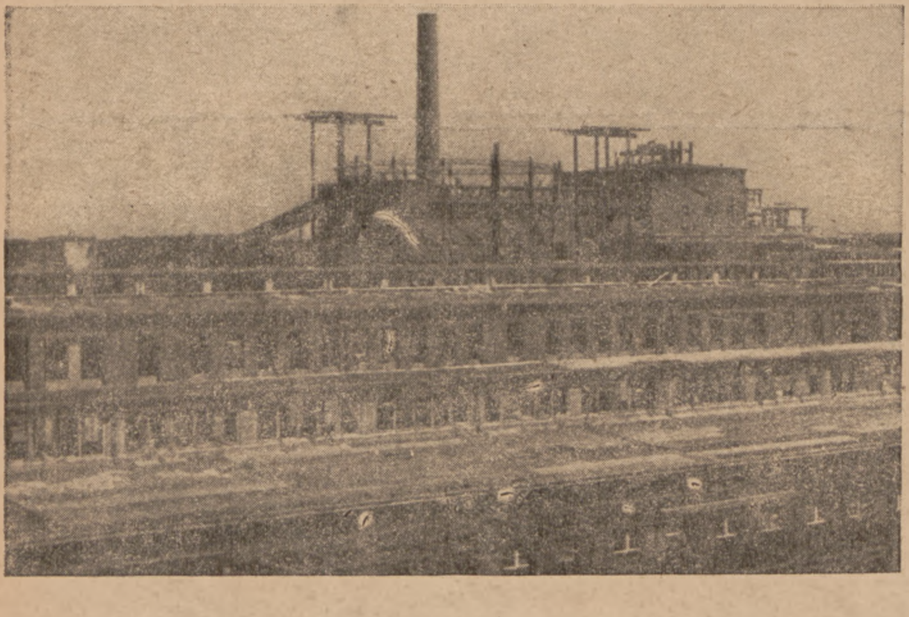
Eugeniusz Kordra, pracownik Państwowej Fabryki Obrabiarek we Wrocławiu, który przyczynił się w dużej mierze do uruchomienia fabryki po zniszczeniach wojennych. Pracuje on w niej bez przerwy od 27 lat.



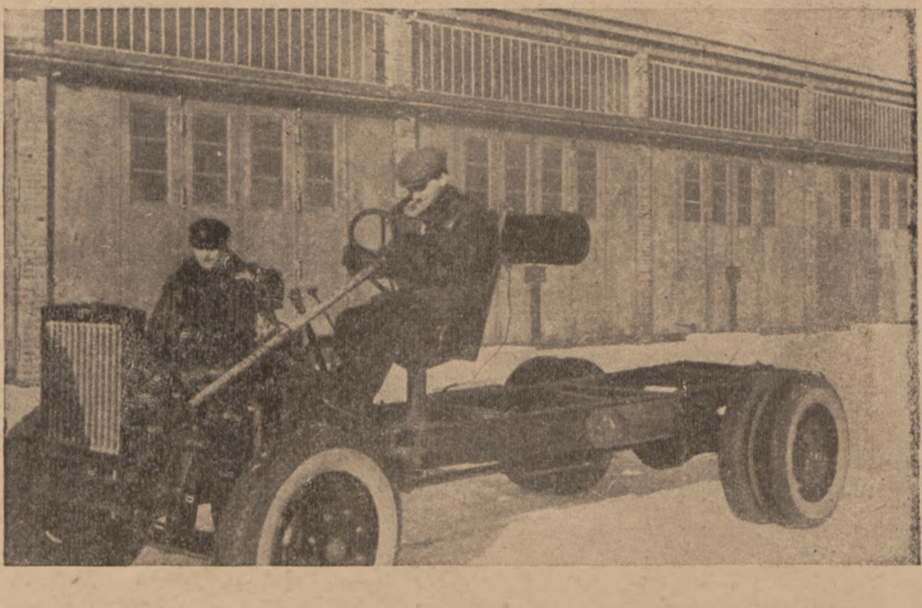
Karkonosze są licznie odwiedzane przez miłośników narciarstwa. (Film Polski)



Najlepszy narciarz polski Stanisław Marusarz pilnie trenuje na skoczni w Karpaczu przed wyjazdem na mistrzostwa w Chamonix.



Trzyletni plan przewiduje uruchomienie dwóch fabryk syntetycznej benzyny, które zaspokoją całkowicie zapotrzebowanie krajowe. Na zdjęciu fabryka synt. benzyny w Kędzierzynie. (Fot. H. Makarewiczowa)



W Państwowych Zakładach Samochodowych w Gliwicach przeprowadza się próby nowego typu samochodu polskiego, konstrukcji inż. Wieczorka. (Film Polski)

Sejm Otwarty

„— Musicie, Obywatele Posłowie, wskrzesić ducha Sejmu Wielkiego, nawiązać do jego reformatorskich tradycji. Wielcy patrioci Sejmu Czteroletniego rozumieli, że tam, gdzie idzie o dobro narodu, o byt państwa, tam nie wolno liczyć się z przywilejami tej, czy innej grupy, rozumieli, że dobre dla narodu jest to, co uwzględnia interes całości lub conajmniej większości“...

Ten fragment przemówienia Prezydenta Bieruta w dniu otwarcia sesji Sejmu Ustawodawczego w Warszawie w dniu 4 lutego charakteryzuje najlepiej atmosferę, w jakiej Sejm ten przystępuje do swych prac.

Program tych prac zawierało właśnie zwarte, krótkie przemówienie Prezydenta. Spadkobiercy ducha Sejmu Czteroletniego, bohaterskiej walki narodu polskiego z okupantem, spadkobiercy słusznej, rozumnej i jedynej koncepcji politycznej Krajowej Rady Narodowej — zgromadzeni posłowie wybrani z najszerszych warstw ludu działać będą dla dobra tego ludu — przede wszystkim dla podniesienia do najwyższego poziomu materialnego, kulturalnego i moralnego bytu warstw pracujących. Ten cel przyświecać ma twórcom przyszłej Konstytucji Państwa Polskiego.

Ulica Daszyńskiego

Gmach Sejmu, odbudowany w rekordowym tempie mieści się przy ulicy Daszyńskiego, nie tylko wielkiego działacza Polskiej Partii Socjalistycznej, lecz — jako Marszałka Sejmu — wielkiego bojownika o wielkość i czystość polskiego parlamentaryzmu. W walce o swobodę i niezawisłość działalności Sejmu, człowiek ten nie zawahał się ani chwili, stawiając opór Piłsudskiemu i wszystkim tym, którzy wolność tę chcieli pogwałcić. Nazwanie ulicy, przy której mieści się Sejm, jest nie tylko złożeniem hołdu Daszyńskiemu, jest też wziętym na siebie przez demokrację polską zobowiązaniem, iż nowy polski parlamentaryzm będzie wypełnieniem pozostawionego przezeń testamentu.

Czerwone goździki

Wspaniała sala, utrzymana w spokojnych, poważnych, harmonijnych tonach brązowo - zielonych wypełnia się zwolna posłami i tłumem gości. Gości zresztą niewiele — znacznie mniej, niż bywało ich w dawnym gmachu „Romy“ — szczupłość miejsca ogranicza ku wielkiemu zmartwieniu tych wszystkich, którzy chcieliby przysłuchiwać się historycznym obradom, możliwość zdobycia karty wstępu. Tak samo w loży prasowej — wiele pism warszawskich musiano pominąć.

Dziennikarze zagraniczni z zainteresowaniem przyglądają się z góry ławom poselskim, komentują, plotkują, wypytują o szczegóły obrad i personalia dyrygentów „wielkiej orkiestry“.

Powszechną uwagę zwraca klub poselski PPS — wszyscy posłowie paradują z czerwonymi goździkami w klapie. Wygląda to i malowniczo i bojowo. W czasie sesji dwa piękne goździki zmieniają właścicieli — ukazują się natomiast w klapach dwóch posłów PPR — żartobliwie zapytani, czy zmienili partię, odpowiadają „To na znak uznania dla jednolitego frontu!“

BOLESŁAW BIERUT PREZYDENTEM RZPLITEJ



Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bolesław Bierut przybył do Sejmu po dokonaniu wyboru. (Fot. Film. Polski)

W ostatniej chwili

Ogólne zainteresowanie budzi także klub poselski Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jeszcze przed rozpoczęciem sesji wszyscy rozglądają się ciekawie, szukając wicepremiera Mikołajczyka.

— Czy mieli nie przyjść? — rozlegają się komentarze. Podawana jest z ust do ust wiadomość o tym, jakoby wicepremier złożył dymisję trzech ministrów swego stronnictwa.

A jednak zjawiają się.

— Jak zwykle, w ostatniej chwili — biegnie przez salę żartobliwa uwaga.

Rzeczywiście — w ostatniej chwili. Już za minutę wkracza, na salę przy dźwiękach hymnu Prezydent Bierut w otoczeniu wiceprezydenta Szwalbego i członka Prezydium KRN — Barcikowskiego. Pewnym poruszeniem, lecz na ogół bez wielkiego zdziwienia sala wita fakt, iż ministrowie PSL nie zasiedli na ławach ministerialnych, a poselskich.

Stanisław

Stanowisko PSL sformułował Mikołajczyk w dyskusji nad ustawą o wyborze Prezydenta — Polskie Stronnictwo Ludowe weźmie udział w pracach Sejmu jako obserwator.

Zabierając kilkakrotnie głos, Prezes Mikołajczyk mówi cicho, raczej bezbarwnie, — jego posłowie przy głosowaniach wstrzymują się — przeważnie od głosowania. Nie budzi to wielkiego zainteresowania i sensacji wśród dziennikarzy zagranicznych — sensacja się przejadła — co dzień na obiad podawane kotlety też mogą się znudzić...

Ogólną wesołość na sali powodują tylko dwa momenty przemówienia Prezesa Mikołajczyka — gdy stwierdza, że mimo wyniku wyborów, kraj opowiedział się za PSL-em i drugi raz, gdy mówi, że celem jego stronnictwa jest zacieśnienie przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Notują za to z zainteresowaniem fakt nieobecności w loży dyplomatycznej ambasadorów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Poza tym pióra korespondentów wprawia w przyspieszony ruch wynik głosowania nad ustawą o wyborze Prezydenta — gdy PPR wraz z PSL zgodnie podniosły ręce, przyjmując formułę ślubowania Prezydenta ze słowami „Tak mi dopomóż Bóg“. Z trudem jakoś przychodzi korespondentom zagranicznym zrozumienie naszych stosunków i warunków. Nie w tej zresztą jedynie sprawie.

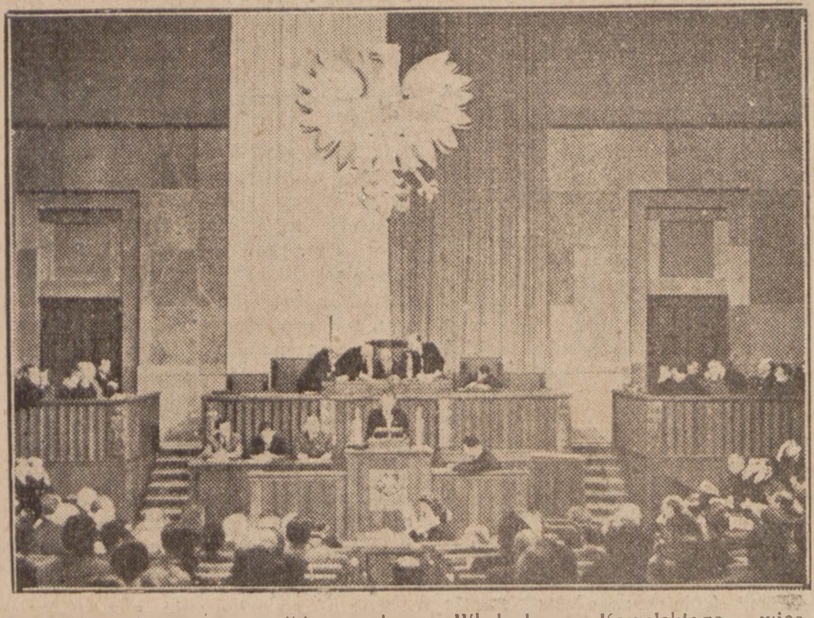
Najstarsi i najmłodsi

Jak się okazało, przy wyborze Marszałka - seniora, który poprowadził obrady do chwili wyboru Marszałka Sejmu, najstarszą partią w Sejmie nie tylko ze względu na długoletniość istnienia — lecz także biorąc pod uwagę wiek posłów jest Polska Partia Socjalistyczna. Najwięcej kandydatów na Marszałka-Seniora było właśnie w tym klubie poselskim. Obrany został poseł Trąbalski, jeden z pierwszych członków PPS, obecnie posłujący z ramienia ludności Ziem Odzyskanych — Opolszczyzny, co podkreślił z dumą w swym przemówieniu, wygłoszonym mimo tak poważnego wieku z niezwykłym temperamentem i swadą. Zresztą i najmłodszy wśród posłów, Rajkowski, który wraz z drugim, Młoteckim (ZWM), objął sekretarzowanie — okazał się również członkiem PPS. Posłowie PPS byli bardzo dumni: taka to nasza Partia: od najstarszych do najmłodszych!

Sydney – Żyrardów

Tak więc odbyła się sesja w pierwszym dniu po przemówieniu Prezydenta Bieruta — wybór Marszałka Seniora, przyjęcie formuły ślubowania poselskiego, ślubowanie, wybór Marszałka Sejmu którym został dotychczasowy Minister Kultury i Sztuki, Władysław Kowalski (Stronnictwo Ludowe), uchwalenie ustawy o wyborze Prezydenta.

Na zakończenie odczytano — chyba przez jakieś małe nieporozumienie — depesze gratulacyjne dla Sejmu — jedną od Polaków z Sydney — Australia, drugą od... mieszkańców Żyrardowa! Jeden z posłów dowcipnie zauważył, że w związku z tym uruchomiona być winna specjalna linia komunikacyjna między tymi dwoma miastami. Słusznie — choć serca rozłączone, widać, iż biją jednym rytmem!



Prezydium Sejmu: marszałkiem wybrano Władysława Kowalskiego, wicemarszałkami: St. Szwalbego, R. Zambrowskiego i W. Barcikowskiego. (Fot. Film. Polski)



4 lutego rozpoczął swe obrady nowy Sejm. (Fot. Film. Polski)

De Gaulle w Kijowie



Niedoszły dyktator Francji przeżywa w Colombay Les - Deux - Eglises swój Sulejówek. Jest on obrażony na nową Francję, którą chciał uważać za swoją własność. Mentalność tego człowieka charakteryzuje najlepiej jego ostatnia odmowa przyjęcia najwyższego odznaczenia wojennego — medalu wojskowego. De Gaulle w liście ogłoszonym w związku z tą sprawą stwierdza, że nie może przyjąć tego odznaczenia, gdyż rozdaje je Francja, a on sam był jej najwyższym uosobieniem, wobec tego wyglądało by to tak, jakby Francja sama sobie dawała order.

Gdy mówimy o de Gaulle'u, zanotować należy ciekawy szczegół biograficzny z jego życia, ujawniony niedawno przez prasę francuską. Okazuje się, iż w początkach swej kariery w roku 1920 de Gaulle w charakterze członka Wojskowej Misji Francuskiej bawił w Polsce. I w tymże samym charakterze brał udział w marszu Rydza - Śmigłego na Kijów, oraz w jego rejteradzie stamtąd z powrotem do Polski. Jakież dowcipne zestawienia daje nam nieraz historia. Rydz-Śmigły pijący wódkę z de Gaulle'em.

Opiekunowie biednych Niemiec

Dla oceny stosunku pewnych kół do zagadnienia niemieckiego charakterystyczne jest zestawienie osób, które były niedawno wymieniane jako kandydaci na stanowisko ministra - rezydenta W. Brytanii w Niemczech. Dotychczasowy minister Hynd już kilkakrotnie był atakowany i spodziewano się jego ustąpienia.

Jak ujawniło jedno z pism angielskich, zupełnie poważnie lansowano kandydaturę Wiktora Gollancza, znanego wydawcy, naturalizowanego emigranta z Trzeciej Rzeszy, który wsławił się rozpętaniem akcji pomocy dla głodujących Niemców, pod hasłem: „Pomóżcie Europie natychmiast". Gollancz podobno nie reflektuje na to stanowisko i ze swej strony wysunął kandydaturę Lorda Mountbatten, którego ojciec przybrał to nazwisko w czasie pierwszej wojny światowej zamiast mniej angielskiego „Battenberg". Trzecim kandydatem ma być poseł Stokes, znany ze swych proniemieckich wystąpień w Izbie Gmin. Ponoć temu kandydatowi przeszkadza fakt, że jest katolikiem, a w strefie brytyjskiej przeważają protestanci.

Syn Mahdiego

Egipcjanie nie doszli do porozumienia z Anglikami w sprawie Sudanu, znajdującego się — formalnie rzecz biorąc — pod kondominium anglo-egipskim i domagali się utrzymania zasady zwierzchnictwa Egiptu nad Sudanem, podczas gdy Anglicy proponowali ogłoszenie niepodległości tego kraju. Istnieje pewna sprzeczność między tamami, jakie Anglicy stawiają prądom niepodległościowym w stosunkowo wysoko cywilizacyjnie rozwiniętych Indiach i Birmie, a życzliwością, z jaką odnoszą się do zacofanego Sudanu. Tajemnica leży, oczywiście, w znaczeniu strategicznym tego kraju, z którego nie chcą wycofać wojsk, jak to uczynili w Egipcie.

W Sudanie Anglicy opierają się na synie Mahdiego, sławnego przywódcy derwiszów w świętej wojnie przeciwko niewiernym, za którego sprawą utracił głowę obrońca Chartumu, gen. Gordon. Syn wroga chrześcijan, noszący dźwięczny tytuł, Sir Mahdi Pasza, dorobił się znacznego majątku na dostawach drzewa dla armii brytyjskiej. Obiecał wiernym robotnikom sudańskim po metrze kwadratowym w raju Mahometa za każdy metr dostarczonego drewna. Podobno to przyrzeczenie zwiększyło znacznie wydajność pracy robotników, zyski Sir Mahdi'ego i życzliwość Anglików.

tak i nie

Współpraca USA — ZSRR

Dopiero obecnie zostały ujawnione pewne szczegóły, dotyczące współpracy wywiadu amerykańskiego i radzieckiego w czasie ostatniej wojny. Porozumienie w tej sprawie zostało zawarte między szefem amerykańskiego wywiadu, gen. mjr. Williamem Donovan a gen. lnt. Fitinem i gen. mjr. Ossipowem i trwało od 1944 r. do końca wojny.

Wywiad radziecki dostarczył Amerykanom m. inn. informacji o niesolidności pewnych kontaktów, jakie wywiad USA utrzymywał w Szwajcarii i na Bałkanach i o losach agentów amerykańskich na terenie Czechosłowacji. Do najważniejszych informacji, które dostarczyli ze swej strony Amerykanie, należała wiadomość o rozwiązaniu przez Niemców pewnych szyfrów, używanych przez wojska radzieckie.

Ujawniono również, że ZSRR nie bacząc na formalną neutralność w zatargu z Japonią, ułatwiał ucieczkę amerykańskim lotnikom, internowanym po przymusowych lądowaniach na Dalekim Wschodzie i dostarczał Stanom Zjednoczonym informacji wojskowych na 14 miesięcy przed wypowiedzeniem wojny Japonii.

Na froncie hiszpańskim

Wszystkie próby zmuszenia gen. Franco do wydania ulokowanych w Hiszpanii kapitałów niemieckich, pochodzących przeważnie z rabunku, spełzły dotychczas na niczym. Ostatnio gen. Franco posunął się do kontrżądania. Zwrócił się do Stanów Zjednoczonych i oświadczył, że wyda „majątek" niemiecki, jeżeli zwróci się jemu złoto, które rząd republiki hiszpańskiej uratował przed jego zachłannością! Wprawdzie nie ma widoków, aby tak się stało, ale tymczasem znowu zyskano na czasie.

Rząd angielski przeniósł swoje wystąpienia przeciwko gen. Franco również na pole finansowe. Po upływie dziesięciu lat dokończono obliczenia strat, jakie ponieśli obywatele brytyjscy w czasie wojny domowej w Hiszpanii. Wynoszą one kilka milionów funtów. Jedno z pism angielskich uważa, że żądanie odszkodowania, wysunięte pod adresem gen. Franco, ma na celu odwrócenie uwagi od wielkich zakupów poczynionych ostatnio w Hiszpanii.

Proszę zapomnieć

Oczywiście o zbrodniach hitlerowców. Zdaje się, że taka myśl kryje się za szeregiem niezrozumiałych dla nas posunięć amerykańskich władz okupacyjnych w Niemczech. Niedawno w toku fali urlopów, udzielanych hitlerowcom przebywającym jeszcze w „obozach" dla internowanych wyjechał na dwutygodniowy odpoczynek do swej rodziny generał Guderian, ostatni dowódca niemieckich wojsk na froncie wschodnim.

Wszystkie jednak rekordy bije wiadomość o zamiarze zaangażowania Emmie Goering (Emma Sonnemann) na występy gościnne na Broadway'u. Należy stwierdzić, że dotychczas władze Stanów Zjednoczonych nie udzieliły jej wizy wjazdowej, ale impressario podobno jest bardzo ustosunkowany i dobrej myśli. Żona Goeringa, której oczywiście w Niemczech nie wolno występować, może się ukaże na scenach amerykańskich. Dla niej będzie to niewątpliwie korzystna zamiana.

Legenda Niemoellera

Rozgłos, otaczający osobę dra Schumachera, osławionego przywódcę socjal-demokratów niemieckich, przesłonił zupełnie drugą osobistość niemiecką, odgrywającą dużą rolę w kombinacjach Anglosasów. Dr Schumacher jest pupilem Anglików, Amerykanie zaś faworyzują pastora Niemöllera, który w połowie grudnia 1946 r. rozpoczął tournée po Stanach Zjednoczonych pod auspicjami Federacji kościołów protestanckich w USA.

Pastor Niemöller znany jest na ogół ze swego pobytu w obozie koncentracyjnym. Natomiast mniej znany jest fakt, iż był on w czasie pierwszej wojny światowej komendantem łodzi podwodnej, że występował jako zwolennik Hitlera w latach od 1924 do 1933 i że zgłosił się ochotniczo do służby w marynarce podwodnej w czasie ostatniej wojny, nie został jednak przyjęty.

Eleonora Roosevelt, komentując jego wizytę w Stanach Zjednoczonych, oświadczyła: „Niemöller był przeciwnikiem hitlerowców ze względu na ich stosunek do Kościoła, ale nigdy nie miał z nimi sporu w sprawach politycznych. Nie rozumiem więc, dlaczego mamy dziś słuchać jego odczytów".

Odszkodowania w fotokopiach

Trudno jest przewidzieć, jaki los spotka formułkę: „Niemcy zapłacą", bardziej niż po poprzedniej wojnie, ukrytą obecnie w mgławicach rozważań politycznych.

Bez wątpienia jednak Stany Zjednoczone wybrały sobie najbardziej pewne pokrycie odszkodowań wojennych, mimo iż trudno obliczyć je w cyfrach — przewożąc samolotem do Ameryki fotokopie wszystkich sekretów i wynalazków nauki niemieckiej i przemysłu, pochodzących z okresu, poprzedzającego klęskę Niemiec.

Oto największe szlagiery, które być może są równie, lub bardziej nawet cenne, niż jakiekolwiek odszkodowania terytorialne: magnetofon, nowy typ kondensatora elektrycznego, nowy system nagrywania filmów kolorowych, nieznane dotychczas metody badania drgań i fal powietrznych, formuły syntetycznego kauczuku, wnioski z badań nad reakcjami chemicznymi i nad stapianiem metali, lekki motor Diesla, chłodzony powietrzem, turbiny gazowe, które zastąpią turbiny parowe i wiele, wiele innych, temu podobnych odkryć...

Amerykanizacja Japonii

Gen. Mc Arthur zaprowadza w Japonii demokrację w wydaniu amerykańskim. Ostatnio sprowadzona została dla najstarszego syna cesarza Hirohito, ks. Akihito nowa wychowawczyni, oczywiście Amerykanka, Mrs. Elizabeth Gray Vinnig. Dama ta nie zna innego państwa poza Stanami Zjednoczonymi i wspomina podobno z rozczuleniem swoją rodzinną Filadelfię. Młody książę japoński uczy się obecnie historii Ameryki.

Jeżeli wychowanie demokratyczne następcy tronu da takie wyniki, jak edukacja całego narodu japońskiego, to nie wiele się zmieni w kraju wschodzącego słońca. Jak donosi bowiem „New York World Telegram" w japońskich kołach politycznych dyskutowany był projekt połączenia dwóch najliczniejszych partii politycznych tego kraju — partii liberalnej i partii postępowej — w jedno wspólne stronnictwo konserwatywne.

Koniec floty włoskiej

Ogłoszony w Waszyngtonie traktat pokojowy z Włochami przynosi zatajane dotąd szczegóły podziału resztek floty włoskiej między zwycięskich sojuszników. Co prawda, te resztki przedstawiają się wcale pokaźnie. Włosi umieli uchronić swą flotę wojenną od pogromu, nie ryzykując starcia wręcz z śródziemnomorską flotą brytyjską. Zbombardowanie szeregu jednostek włoskich w porcie Taranto w r. 1941 było sukcesem czasowym. Kilka mniejszych jednostek zatopionych zostało w drobnych potyczkach. Do żadnej walnej bitwy jednak nie doszło i praktycznie wszystkie wielkie jednostki floty włoskiej pozostały nietknięte. Będzie się czym dzielić.

Tak późne ogłoszenie szczegółów podziałów spowodowane zostało obawami przed sabotażem ze strony marynarzy włoskich

Ostrze na ostrze

KOTYLION WARSZAWSKI

Nie nadaremnie nasza kochana stolica nosi imię, które wyraźnie wskazuje na jej piękną płeć: Warszawa.

Zawsze zwykliśmy dodawać przymiotnik: waleczna. Wiadomo, kobiety polskie z dawien dawna słyną z bojowego ducha. Nasza Warszawa obdarzona jest jednak i innymi cechami, właściwymi rodzajowi żeńskiemu. Wskażcie, proszę, inne miasto w Polsce, równie pełne temperamentu, równie przekorne, równie... gadatliwe i plotkarskie. Od samych nazw, takich jak: Poznań, Kraków, Katowice — wieje powagą i namaszczeniem, należnym słusznie historycznej patynie, Wawelom i bibliotekom, chwalebnej pracy twórczej młotów, oskardów i transmisyjnych pasów.

Co innego Warszawa. Pracować — owszem. Budować — owszem. Ale czemuż by przy tej okazji nie pogadać? W dodatku z wrodzoną przekorą.

I tak, np. piszą gazety o Niemcach, konferencjach i innych poważnych wydarzeniach na świecie, o trzyletnim planie i uszlachetnianiu duszy ludzkiej przez spółdzielczość.

A tymczasem Warszawa nasza tym „nudziarzom" na złość plotkuje po kawiarniach, na ulicy, w tramwajach i gdzie tylko się da — o zupełnie innych sprawach.

Poza najważniejszym tematem — pogodą, na plan pierwszy po wyborach i „Zakazanych piosenkach" wysunął się bez wątpienia Sejm i nowy rząd. Już z góry, nie pytając bynajmniej bezpośrednio zainteresowanych osób o zgodę, przetrząśnięto wszelkie ich kwalifikacje, personalia i szanse, rozdzielono teki, względnie posłano niektórych na zasłużony wypoczynek.

Popularny „Express" usiłował na swych łamach dać odbicie tych nastrojów, zapuszczając się w gąszcz rozważań: kto, gdzie i dlaczego — ale umilkł, zawstydzony i zgromiony przez „Dziennik Ludowy": jako że „o takich rzeczach mówi się, ale się nie pisze"! A zatem — ponieważ się nie pisze, tym więcej oczywiście się mówi.

Mówi się i o tym, że ze względu na sesję sejmową w PSL-u przyspieszono o s t a t k i na cześć jednego z przywódców, któremu zaproponowano także konsekwentnie — popielec, chwilę skruchy i pokuty za niedostateczny stopień z arytmetyki...

Poza tym Warszawa zaczyna się bawić. Pierwszym prawdziwym powojennym balem sezonu była niezwykle udana zabawa Młodej Architektury. Jak dawnymi laty, rozbawione towarzystwo nad ranem wyległo na śpiące, zaśnieżone ulice. Składano sobie z tej okazji życzenia: oby tyle domów nam wyrosło w najbliższym czasie, ilu Warszawiaków szalało tej nocy! I — oby na przyszłość młodzi budowniczowie nie drożyli się z biletami wstępu niczym właściciele domów wyłączonych spod kwaterunku na pohybel biednym lokatorom, ludziom ciężkiej pracy i skromnych zarobków.

Prócz tych spraw przedmiotem ożywionych dyskusji w Warszawie są sprawy komunikacji. Ludzie, skazani na korzystanie z miejskich środków lokomocji twierdzą, iż łatwiej jest chyba dostać się na Marsa, sądząc po ostatnich wiadomościach o nawiązaniu kontaktów świetlnych z mieszkańcami tej planety, niż na Pragę, lub na Żoliborz!

Zwłaszcza obecnie, po wielkiej wojnie, wydanej „łebkarzom" przez ojców miasta, przemyt paru łebków, proceder arcyzakazany, kosztuje amatorów tej przyspieszonej komunikacji ponad 100 zł. od osoby. Wołamy ratunku! W przeciwnym razie skłonni będziemy ojców miasta przemianować na — ojczymów...

AVIS

NIE przychodzimy do Was naszych Aliantów, aby domagać się zemsty, aby żądać odwetu na Niemcach. Uczucie zemsty nie jest obce naturze ludzkiej. My jednak chcemy pokoju trwałego, chcemy długich lat pokoju, którego tak potrzebuje i pragnie nasz zdewastowany kraj. Chcemy pokoju konstruktywnego, pokoju, który umożliwiłby nam odbudowę naszego kraju i pozwolił mu kroczyć naprzód ku dobrobytowi, i którego Polska dawno nie zaznała. Jednakże jeżeli odrzucamy w imię naszej własnej racji stanu i w imię pokojowego rozwoju wszystkich narodów zemstę, to jeżeli chcemy pozostać jako naród na naszych ziemiach — musimy być ostrożni, bardzo ostrożni i przewidujący".

ZBIGNIEW MITZNER

TRAKTAT WARSZAWSKI

Z TYMI słowami zwrócił się przedstawiciel Polski ambasador Wierbłowski do zastępców ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki, wręczając im memorandum nasze w sprawie Niemiec. W słowach tych znajduje się uzasadnienie stanowiska Polski we wszystkich sprawach, dotyczących przyszłości Niemiec. Punkt widzenia Polski nacechowany jest realizmem. Nie szukamy zemsty i odwetu, próby bowiem tych poszukiwań mogłyby spowodować tylko pomniejszenie znaczenia zbrodni niemieckich, dokonanych w toku ubiegłej wojny.

Tragizm sytuacji polega właśnie na tym, że i za takie zbrodnie nie może być odwetu i nie może być zemsty. Żaden z narodów cywilizowanych nie potrafiłby za Oświęcim i Treblinkę odpowiedzieć nowym Oświęcimiem i Treblinką, za komory gazowe — komorami gazowymi, za planowe niszczenie całych narodów i ich miast — planowanym niszczeniem Niemiec i narodu niemieckiego.

Jeśli chodzi o przyszłość tej wojny pozostaje tylko kara, która musi być wymierzona Niemcom, winnym popełnienia zbrodni, a poza tym — tak jak to stwierdził ambasador Wierbłowski — pozostaje zagadnienie przyszłości i takiego zorganizowania Niemiec i takiej nad nimi kontroli, by nie mogły one już w przyszłości zakłócić więcej pokoju świata.

GŁOS Polski w tej sprawie ma znaczenie wyjątkowe, jeśli na każde tysiąc mieszkańców Polski w okresie drugiej wojny światowej zginęło 170 osób, jeśli nasze straty materialne wynoszą 11.700.000 dolarów.

Polska, sąsiadująca z Niemcami musi być wysoce zaniepokojona tym sąsiedztwem, którego nikt i nic nie potrafi zmienić. Sprawa Niemiec wymaga wyjątkowej ostrożności, gdyż już raz błąd w Wersalu umożliwił temu narodowi całkowite odrodzenie się w przeciągu lat dwudziestu i spowodowanie nowej wojny.

Trzy są sposoby, które prowadzą zdaniem rządu polskiego do zabezpieczenia pokoju przed nowym atakiem ze strony Niemiec. Te sposoby to: denazifikacja, demilitaryzacja, i demokratyzacja. Realizację tych trzech kardynalnych postulatów warunkuje trwały, sprawny i sprężysty system kontroli alianckiej nad całością politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego życia tego kraju. W żadnym wypadku przez długi jeszcze okres czasu w żadnej dziedzinie życia Niemcy nie mogą być pozostawieni sami sobie. Przyszłość świata wymaga, by byli oni ubezwłasnowolnieni, by nie mógł wśród nich wziąć z powrotem górę instykt zła i niszczenia.

Czy należy rozbijać Niemcy, na oddzielne państewka, czy też pozostawić je jako organizm jednolity. Ambasador Wierbłowski wyraża opinię, iż fakt zjednoczenia Niemiec jest procesem nieodwracalnym, że ponowne rozbijanie ich może nie tylko ożywić ducha szowinistycznego ale co gorsza utrudnić tę tak konieczną sprawną nad nimi kontrolę. Zniszczone natomiast być muszą Prusy nie tylko przez okrojenie terytorialne, ale także przez zniszczenie ich jako odrębnej jednostki w organizmie niemieckim i przez zniszczenie ducha, który on reprezentuje a który trzykrotnie w okresie lat osiemdziesięciu spowodował zawieruchę europejską.

PRZEDSTAWIAJĄC zastępcom spraw zagranicznych w Londynie osiągnięcia Polski przy zaludnieniu i zagospodarowaniu Ziem Odzyskanych, które Polska przejęła na podstawie decyzji zapadłych w Poczdamie, ambasador Wierbłowski wysunął w tym zakresie jeden tylko postulat:

„Oczekujemy od konferencji pokojowej — powiedział on — ostatecznego formalnego zatwierdzenia naszej granicy zachodniej, ustalonej w Poczdamie oraz przeprowadzenia niezbędnej delimitacji granicy".

Ale w sprawie Niemiec ważne są nie tylko kwestie polityczne, kwestie graniczne. Nie mniejszą wagę posiadają zagadnienia gospodarcze. I tutaj rzecznik polski polemizował pośrednio z często rozpowszechnianym przekonaniem, że nie ma odbudowy gospodarczej Europy bez gospodarczej odbudowy Niemiec. Za stwierdzeniem tym kryje się przeważnie chęć odbudowy Niemiec właśnie kosztem Europy. I tutaj Polska stawia wyraźną i słuszną zasadę: „Naczelną tezą rządu polskiego jest, by odbudowa gospodarki niemieckiej w żadnym wypadku nie wyprzedzała odbudowy krajów zniszczonych".

Znana nam jest wyjątkowa słabość pewnych sfer wielko-kapitalistycznych w stosunku do Niemiec, słabość ta wyraziła się już raz w odbudowaniu przemysłu niemieckiego kosztem kredytów zagranicznych, przewyższających sumę odszkodowań nałożonych na Niemcy po pierwszej wojnie światowej. Liczby, które podaje ambasador Wierbłowski mają wystarczającą wymowę własną. Oto według statystyki Ligi Narodów w latach 1925 — 1930 dopływ kredytów długoterminowych do Niemiec wynosił rocznie ponad 9 dolarów na głowę ludności, podczas gdy w państwach Europy środkowo-wschodniej wynosił on 2,5 dolara, a w Polsce nie przekraczał sumy 1 dolara 85 centów.

TAK więc sprawa Niemiec wygląda z polskiego punktu widzenia, jak wielki obszar błędów i pomyłek, które raz już popełnione i których za cenę istnienia milionów istnień ludzkich należy uniknąć. Polska — tak jak powiedzieliśmy na początku — odnosi się do Niemiec realistycznie: nie ma zamiaru bojkotować odrodzonych Niemiec demokratycznych. Ale znów warunkiem naszym jest, aby pod pozorem demokratyzacji nie kryły się istotne tendencje odwetowe, a tak się niestety dzisiaj dzieje. Z ust wielu demokratycznych przywódców Niemiec padają słowa o odwecie, słowa oszczercze wobec Polski. Te objawy nakazują nam czujność w sprawie Niemiec.

MEMORIAŁ rządu polskiego, złożony w Londynie, kończy się propozycją, aby traktat z Niemcami podpisany został w Warszawie. Nie trzeba tu wymieniać wszystkich argumentów, przemawiających za tą propozycją. Polska i jej stolica mają pełne prawo domagać się, by pakt międzynarodowy, kończący formalnie drugą wojnę światową, przeszedł do historii pod nazwą Traktatu Warszawskiego.

Jest niezwykle charakterystyczne i symptomatyczne, iż ten wniosek polski został niezwłocznie zaatakowany przez Schumachera. Oświadczył on, iż zwycięzcy z roku 1918-go byli rozsądniejsi, to znaczy według niego, że sprowadzenie przedstawicieli Niemiec do miasta najbardziej zniszczonego w Europie, aby tutaj otrzymali warunki pokojowe — jest zdaniem nowego przywódcy Niemiec — nierozsądne. Oczywiście, wolałby on, by pokój ten podpisywano w Monachium, jako w mieście będącym symbolem upokorzenia Europy wobec Niemiec. Polska powinna być właściwie wdzięczna Schumacherowi za jego atak na propozycję podpisania traktatu w Warszawie.

Oznacza to, iż nasz cios w stronę podnoszącego głowę odwetu niemieckiego, był trafny i celny.



Jak sobie Niemcy wyobrażają odbudowę Niemiec.
(Frischer Wind — Berlin)

Marek Sadzewicz

O RYCERZU ROZBÓJNIKU

PRZEWODNICZĄCY NAJWYŻSZEGO TRYBUNAŁU NARODOWEGO: — Czy świadek brał udział w walkach w Warszawie?

ŚWIADEK ERICH VON DEM BACH ŻELEWSKI:

— Tak jest. Otrzymałem rozkaz od wodza zgniecenia powstania warszawskiego.

...z kariery i wychowania jestem oficerem zawodowym Wehrmachtu. Od 1924 roku do 1930 służyłem w Grenschutzu. W roku 1930 wstąpiłem do partii i do SS.

...uważałem siebie za człowieka najbardziej powołanego do tłumienia powstania z uwagi na moje doświadczenie w walkach z partyzantami.

...Polska została ogłoszona jako obszar partyzancki. Na tej podstawie każdy oficer niemiecki począwszy od kapitana miał prawo a nawet obowiązek rozstrzelać bez sądu 50 do 100 Polaków za jednego zabitego Niemca.

To była właśnie tragedia, że ilość rozstrzelanych zależała wyłącznie od jego uznania i jego ...sumienia.

PROK. SAWICKI: — Czy wobec tego wolno powiedzieć, że od r. 1943 ludność polska była z rozkazu władz wyższych wyjęta spod prawa?

ŚW. VON DEM BACH — Tak jest. Jako oficer niemiecki muszę to, niestety, potwierdzić.

PROK. — Czy świadkowi znane są rabunki i mordy bezbronnej ludności Warszawy?

ŚWIADEK — Wydałem rozkazy wzbraniające.

PROK. — Czy jednak jako dowódca poczuwa się pan do odpowiedzialności za to co, co się działo?

ŚWIADEK — Tak jest.

Wejście na salę sądową „wypożyczonego" z Norymbergi świadka „człowieka, który spalił Warszawę" poprzedza napięte oczekiwanie. Słychać tylko syk jupiterów filmowych, których białe światło razi w oczy.

Von dem Bach wchodzi sprężystym krokiem w otoczeniu milicjantów, uzbrojonych w automaty. Śmiało i bez wahania kieruje się do pulpitu dla świadków. Ma już praktykę w tym kierunku. Jak sam mówi, wielokrotnie zeznawał jako świadek.

Staje na baczność i oddaje sądowi ukłon. Ubrany jest w podniszczone ubranie koloru „feldgrau" widocznie przerobione z munduru. Na nogach grube pończochy i buty filcowe do kolan. Mimo tego demobilu zachował postawę wysłużonego oficera. Wysoki, nieco siwawy blondyn, twarz koścista, rysy regularne, oczy przysłonięte okularami.

Słucha uważnie zadawanych mu pytań, zwracając twarz do pytającego, potem do tłumacza. Odpowiada głosem zdecydowanym, zwięźle i precyzyjnie formułuje zdania. Niekiedy nie odpowiada od razu, raczej jednak pod wpływem namysłu, niż wahania. Z dumą podkreśla, że czuje się przede wszystkim oficerem Wehrmachtu. W jego pojedynku słownym z Fischerem można wyczuć nutę lekceważeniem dla tego cywila, urzędnika administracyjnego, jak również dla innych figur urzędniczych i policyjnych.

Sam wprawdzie jest również policjantem. Ale policjantem specjalnego typu. Był specjalistą od walki z partyzantami i tłumienia powstań. Z tego tytułu poczuł się dotknięty, że to nie jemu początkowo powierzono tłumienie powstania warszawskiego. Być może zazdrość zawodowa kazała mu rozstrzelać niebezpiecznego konkurenta, dowódcę własowców Kamińskiego — zagończyka spod ciemnej gwiazdy. Odżegnywuje się od parktyk własowców, chociaż byli to jego podkomendni, którymi się posługiwał w akcji warszawskiej.



Von dem Bach stoi przed pulpitem dla świadków i broniąc własnej głowy oskarża Fischera. Oczy Fischera błyszczą strachem i nienawiścią...

Natomiast, jeszcze podczas zeznań w Norymberdze, które dzisiaj w całości potwierdza, nie odrzekł się bynajmniej od innych, również podlegających mu zuchów ze słynnego batalionu Dirlingera, składającego się z zawodowych kryminalistów, zwerbowanych w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Chłopcy Dirlingera odznaczyli się nie tylko w akcji, bojowej, ale i jako oprawcy bezbronnych kobiet i dzieci. Prokurator Sawicki pytał wówczas von dem Bacha jaka była zasada kompletowania tego „doborowego" oddziału? Czy chodziło o przestępców, którzy wykazali swoim życiem skłonności krwiożercze, sadystyczne? Von dem Bach stwierdza z odcieniem dumy, iż byli to przede wszystkim przestępcy „honorowi" jak kłusownicy. Przyznaje jednak, że kiedy tych „honorowych" zabrakło, dobrano do kompletu i mniej honorowych: bandytów, morderców, rabusiów i złodziei.

Von dem Bach czuje się oficerem, żołnierzem. Podkreśla z pychą swoje rycerskie pochodzenie, oraz związki rodzinne ze szlachtą polską — po kądzieli. Nie miał nic wspólnego z praktykami policji, Gestapo, i innych tyłowców, zajmujących się katowaniem bezbronnych. Jego bowiem robotą była żołnierska, orężna walka z partyzantami. Do „statutu" tej walki należały masowe egzekucje bezbronnych, jako akty odwetowe...

Ten oficer, którego dowództwu podlegał oddział zawodowych kryminalistów, bandytów, złodziei i sutenerów, uznaje znaczenie wyrazu „honor żołnierski". Przywiązuje również wagę do danego słowa, bo przecież dotrzymał warunków kapitulacji wobec wziętych do niewoli żołnierzy powstania. Nie dotrzymał ich tylko wobec ludności cywilnej, wydanej na łup Fischera, SS i Gestapo.

Mówi o sobie, że jest „w niewoli" patrzymy na niego, jak stoi przed sądem w zdekompletowanym mundurze, oddaje ukłon wojskowy, z szacunkiem słucha, odpowiadając śmiało i z powagą, nie odrazu narzuca się odpowiedź, czy jest to jeniec wojenny pokonany w boju, czy przestępca schwytany i przyprowadzony jako świadek na proces wspólnika zbrodni

Nie tylko gen. von dem Bach.

Podobne pytanie moglibyśmy postawić w stosunku do wielu przeciętnych oficerów Wehrmachtu, z którymi zdarzyło nam się zetknąć w polu. Gdyby nie znaleźli się inni świadkowie i nie poznali w tych samych oficerach zwykłych morderców bezbronnej ludności.

Zdaje się, że w osobie von dem Bacha już nie człowieka, ale symbolu, obserwować można odwieczną, fatalną antynomię duszy żołnierza niemieckiego, sięgającą grafa Gerona, rycerzy — rozbójników i pruskich rycerzy Krzyża. Antynomię, skodyfikowaną lapidarnie przez Ludendorffa: „Honor wymagał od pruskiego oficera, aby był bez zarzutu, obowiązkiem niemieckiego oficera jest — być przebiegłym". I czynić to, co każe niemiecka racja stanu. A jej drogi daleko odbiegły od dróg cnoty i honoru, cnotą i honorem nie sposób jest służyć zbrodni.

Kiedy von dem Bach stoi przed pulpitem dla świadków i broniąc własnej głowy, wskazuje oskarżycielskim palcem na Fischera: „to on!" Wiemy że i on sam nie jest niczym więcej jak i oni wszyscy, schwytanym przestępcą.

Były Gubernator Fischer siedzi dzisiaj na ławie oskarżonych. Von dem Bach zasiądzie na niej niebawem. Na razie zajmuje bardziej dogodną pozycję świadka .Z pozycji tej pragnie ukuć sobie przyszłą obronę, oskarżając na zimno i bez skrupułów Fischera. Tamten broni się zaciekle. Kiedy patrzy na Bacha, jego oczy błyszczą nienawiścią, jak ślepia zapędzonego w róg szczura. Odrzuca oskarżenie. Wskazuje na Bacha. „To nie ja. To właśnie on„!

Patrząc na to poniżające widowisko, nasuwa się jedno jeszcze pytanie. Dlaczego we wszystkich dotychczasowych procesach Hitlerowców, masowych morderców i nihilistów nie znalazł się ani jeden, któryby potrafił zdobyć się na męski, wisielczy cynizm wobec oczekującego niechybnie powroza. „Wymordowałem was, ilu mogłem. Żałuję, że nie wymordowałem więcej. Teraz wy mnie powiesicie, bo możecie".

Stać było na cynizm wobec cudzych, wielu śmierci. Nie stać na gest wobec jednej, własnej.

AMBITNA DROGA ANDERSA

Oficer polski z zachodu opowiada o karierze watażki



W „Życiu Warszawy“ przed niedawnym czasem ukazał się wywiad z dowódcą O. W. I, gen. Paszkiewiczem na temat kariery Andersa i jego próby zamachu stanu w Iraku.

Od jednego z oficerów II Korpusu, który niedawno wrócił do kraju, otrzymujemy dalszy szereg szczegółów kariery Andersa, które oświetlają dostatecznie osobę tego ambitnego wodza emigracji londyńskiej.

Anders, mianowany przez gen. Sikorskiego naczelnym dowódcą armii polskiej w ZSRR, od początku nosił się z myślą odegrania ważnej roli w rozgrywających się wypadkach w zasięgu światowym. Ten mało znaczący przed wojną dowódca brygady kawalerii w Brodach, a następnie w Równem, przeniesiony karnie za różne sprawki, choć powinien by być wydalony z wojska — marzył o wielkiej karierze i dążył konsekwetnie do coraz wyższych stanowisk.

Jego korpus oficerski dobierany był ze szczególną starannością. Ktokolwiek mógł stać się ośrodkiem czynników opozycyjnych wobec „wodza“ Andersa, był natychmiast likwidowany w ten, lub inny sposób. Sądy wojskowe przy armii zależne były w zupełności od woli Andersa. Pułkownicy Korpusu Sądowego Rom i Haase, nie wymieniając oficerów niższych stopni, byli zwykłymi kreaturami Andersa. Dwójka Andersa, na której czele stał ppłk. Bąkiewicz szalała. W tej walce przeciw każdemu odruchowi samodzielnej myśli i woli łamano charaktery i niszczono egzystencje. Dziesiątki oficerów skazywano na śmierć, setki na długoletnie więzienie. Oficerowie, naznaczeni asesorami na poszczególne rozprawy, otrzymywali często od samego Andersa rozkazy głosowania za karą śmierci.

Na przełomie lat 1941 — 42 przeszło przez front wschodni trzech oficerów w charakterze pol. skiego ruchu podziemnego. Przeszli z ważnymi meldunkami dla gen. Sikorskiego, który bawił w tym okresie w ZSRR. Na wszelki wypadek jednak inny kurier wyjechał drogą na Niemcy i Francję do Londynu z identycznymi meldunkami. Kierownik delegacji na wschód dostawiony został do kwatery Andersa na południu Rosji dość późno, gdy gen. Sikorski odleciał już do Londynu. Anders, chcąc poznać treść meldunków nie dla niego przeznaczonych, zaprosił oficera do siebie na prywatną ucztę, podczas której spoił go, wydostał treść meldunków, a wywnioskowawszy, że wiadomości mogłyby pokrzyżować jego ambitne plany, kazał emisariusza aresztować i skazać na śmierć. Komedia rozprawy odbyła się i emisariusz (w randze rotmistrza) skazany został na śmierć za współpracę z Niemcami (!).

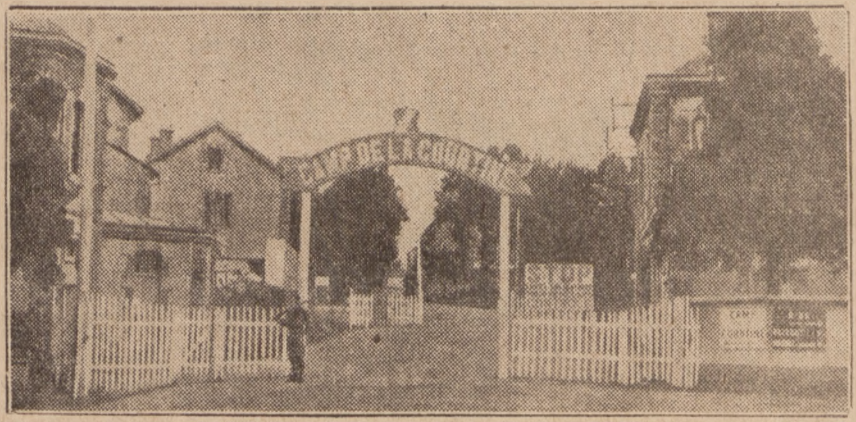
Gen. Sikorski po powrocie do Londynu otrzymał meldunek od kuriera, który ruszył z Warszawy na zachód i dowiedział się z niego o jednoczesnym wysłaniu innych emisariuszy na wschód. Równocześnie dowiedział się o wydanym na głównego emisariusza wyroku śmierci i zażądał radiodepeszą zawieszenia wyroku i przeprowadzenia nowej rozprawy. Anders jednak nie zamierzał zrezygnować i polecił jednemu ze swych adiutantów wydać żandarmerii rozkaz zlikwidowania emisariusza podczas spaceru pod pozorem usiłowania ucieczki z więzienia. Ale adiutant odmówił. Ponowna rozprawa odbyła się pod przewodnictwem samego płk. Roma w Iraku. Emisariusz skazany został na 15 lat więzienia, lecz już po trzech latach bez żadnej rozprawy rehabilitacyjnej zwolniony został na telegraficzny rozkaz gen. Kukiela, co najlepiej świadczy o jego niewinności.

O żołnierza mało dbało się w sztabie Andersa. Przy pełnych magazynach żołnierze marli jak muchy. Tyfus szerzył się nagminnie, ale były wypadki, że żołnierzy, którzy skradli po kawałku mydła z pełnego magazynu skazywano na śmierć. Toteż armia wyszła z Rosji zdziesiątkowana i gdy dotarła do Iraku, trzeba było przeprowadzić zupełną reorganizację. Po przetransportowaniu do Iraku Brygady Karpackiej zaledwie zdołano utworzyć dwie dywizje: Karpacką i Kresową i dwie Brygady.

Wyjście armii z ZSRR przeprowadzone zostało przez Andersa wbrew rozkazom gen. Sikorskiego. Toteż natychmiast po przejściu armii z Iranu do Iraku Naczelny Wódz postanowił usunąć z dowództwa Andersa i naznaczył swego dowódcę w osobie gen. Zająca. Gen. Zając przybył do Palestyny, ale nie ryzykował dalszej podróży do Iraku wobec kategorycznego oświadczenia Andersa, że nie da się usunąć z dowództwa, że on armię wyprowadził z Rosji i on pozostanie jej dowódcą, czy się to komu podoba, czy nie. W swoich planach Anders oparł się na organizacji młodych oficerów pod nazwą „Związek Młodych“, która posiadała nawet własny organ prasowy. Ona też miała dokonać zamachu stanu w Kisile Rybat, o którym wspomina w swym wywiadzie gen. Paszkiewicz.

Gen. Sikorski, przybywszy do Iraku i powiadomiony o grożącym mu niebezpieczeństwie, poszedł wobec Andersa na duże ustępstwa, by uniknąć skandalu, a młodych oficerów rozbroił, wybierając 40 najzdolniejszych do służby cywilnej na odpowiedzialne stanowiska.

Z podróży tej gen. Sikorski już nie wrócił. Żyłby dla dobra Polski, gdyby nie był zmuszony lecieć na Środkowy Wschód celem ugłaskania warchoła, który gotów był poświęcić sprawę Polski dla swych własnych ambitnych celów.



Oto jeden z obozów bez końca likwidującej się armii Andersa.

Gdy do kwatery Andersa dotarła wieść o śmierci gen. Sikorskiego u skał Gibraltaru, Anders dostał formalnego szału radości. Co szlachetniejsi oficerowie, którzy mimo bliskiego obcowania z Andersem nie potrafili się zniżyć do roli jego kreatur, nie taili wówczas swego oburzenia i głębokiej pogardy dla niego. Zdaje mi się, że i gen. Paszkiewicz powinien by być świadkiem tego wybuchu radości Andersa, który nie tail się z zamiarem ubiegania o stanowisko naczelnego wodza.

Wśród obecnych znalazło się jednak kilku nielicznych, którzy nie stracili jeszcze u boku watażki poczucia honoru oficerskiego i uczuć obywatelskich. Oświadczyli Andersowi, że absolutnie nie dopuszczą do przeprowadzenia takich zamiarów i podniosą w wojsku bunt przeciw Andersowi. Anders zdusił w sobie wściekłość, ale powoli przeprowadzał swoje plany. Zmienił wówczas wszystkich wyższych dowódców, których nie był całkowicie pewny, a młodszych oficerów z opozycji kazał pod różnymi pozorami aresztować i skazywać za różne sfingowane przestępstwa na kary więzienia przy równoczesnym wydaleniu z wojska i degradacji. Pułkownicy Haase i Rom i tym razem okazali się powolnymi narzędziami w rękach Andersa.

W następnym numerze dalszy ciąg rewelacji o Andersie, oświetlający bitwę pod Monte Cassino p. t. ZWYCIĘSTWO ŻOŁNIERZA — KOMPROMITACJA WODZA

MADONNA PRZYDROŻNA

LOSY wojny rzuciły nas do S., powiatowego miasteczka polskiego.

Zaznaczyć należy, że w owym czasie, kiedy Rzeczpospolita Polska zajmowała obszar zaledwie do Wisły, a stolicą jej był Lublin — małe i brudne miasteczko S. zdobyło sobie rangę wielkiego centrum.

Niebo niskie, nieomal zawsze szare, przezierające spośród strzępów chyżych chmurek; melancholijny dźwięk dzwonów kościelnych; zziębnieci dorożkarze w długopołych kapotach z ołowianymi guzikami, zasiadający na wysokim koźle, o wągrowatych nosach notorycznych pijanic, wymachujący długimi cyrkowymi biczyskami; dzikie podmuchy wiatru, zrywającego się z oblodzonego wybrzeża Wisły, by skargliwie jęczeć wśród szkieletów zbombardowanych domów; liche sklepiki pod szumnymi wywieszkami „Kosmos" lub „Nowy Babilon", wystawy naładowane moskiewskimi papierosami, wyschniętym niemieckim szuwaksem i miniaturowymi krucyfiksami; orkiestry pułkowe Wojska Polskiego, rozdzierajace zmierzchy miedzianym pobrzękiem; poobłupywane ściany ratusza, nietynkowane od roku 1939, zaklejone płomiennymi plakatami Krajowej Rady Narodowej wzywającymi do parcelacji ziemi; kostki jezdni zaśmiecone słomą z przejeżdżających fur chłopskich, całe w oleistych plamach od „Dodge'ów" czy „Willysów", pędzących na front; w niedzielę tradycyjne „promenady" modniś w pantoflach na korkach, w stożkowatych lub grzybkowatych kapelusikach, spacerujących w towarzystwie miejscowych galantów w kurtkach myśliwskich, przesadnie zwężonych w talii, z wąsikami á la Chaplin, z laseczkami w dłoni, uśmiechających się dwuznacznie za plecami maszerujących żołnierzy dywizji imienia Dąbrowskiego; Anna Louisa Strong, amerykańska dziennikarka — siwa entuzjastka — zapędzona do tej dziury zabitej deskami i wyrażająca swój zachwyt: „Polska to Hiszpania w czasie wojny domowej; Lublin — to Walencja, Praga — to Madryt. Ale tutaj..." I rozkładała ręce jakby przepraszając.

Wszystko razem — to miasteczko S. zimą roku 1944-ego.

Komendant przydzielił nam — mnie i majorowi D. — kwaterę w domu pana Adama Borkowskiego, miejscowego króla kiełbas. Dom jego znajdował się na krańcach miasteczka. Przez okno widzieliśmy tyły miasta, szerokie łęgi, oprószone nietrwałym polskim śnieżkiem, wioskę na stoczu wzgórza, kozy, pasące się śród gliniastych kałuż i szeregi słupów telegraficznych, uciekających w stronę frontu — nad Wisłę.

Przed samą bramą zbiegały się trzy drogi: na Lublin, na Brześć i na Warszawę, zajętą w owym czasie przez Niemców.

Na rozwidleniu dróg stała kamienna figura Matki Boskiej. Wznosiła się nad ożywionym skrzyżowaniem — **Madonna Viatoria**, opiekunka podróżnych, miłosierna Matka dróg i gościńców. Nieznany rzeźbiarz wykuł w kamiennych rysach twarzy smętny, bolesciwy uśmiech. Pod tą statuą nie odbywały się nabożeństwa liturgiczne, kardynał ani biskup nie raczył jej uświęcić swoją wielebną obecnością. Lubili tę figurę brodaci kramarze uliczni, przemarznięci do szpiku kości szewcy wędrowni, kominiarze i złodziejaszki, u stóp proletariackiej Madonny wybłagujący odpuszczenie grzechów powszednich.

Z błogim pochyleniem głowy, uwieńczonej mitrą i zlekka wyszczerbionej odłamkami stukilówki, Madonna ludowa spoglądała przyjaźnie na małych uczniaków, którzy po drodze do szkoły zanosili modły o dobry stopień z kaligrafii i z arytmetyki, na parobków, którzy wlekli odkarmione wieprzki do masarni pana Borkowskiego — z Przesmyków, a nawet i z Wólki Wiśniowej, — na niedouczonych studentów teologii, którzy spieszyli na swój znów otwarty fakultet do Lublina, ubrani w brązowe sutanny z nakrochmalonymi kryzami, opryskane błotem przydrożnym, na wyelegantowane panieneczki, które wybierały się na komercyjne pielgrzymki z miasteczka S. na Pragę w celu wymiany produktów żywnościowych na manufakturę i które składały u stóp Przenajświętszej Panny ładnie uplecione wianki z przydrożnych kwiatów.

Kto przechodził drogą, ten wsuwał złote polskie, złote Lubelskiego Rządu Demokratycznego, do przepaścistego kubka, przytwierdzonego do kamiennej szaty Madonny. Co wieczór kubek opróżniał zakrystian z pobliskiej kaplicy książąt Czartoryskich. U stóp Madonny płonęła nigdy nie gasnąca lampka. O zmroku milicjant, zdjąwszy konfederatkę i przeżegnawszy się, zakrywał lampkę ciemnoniebieskim kapturkiem, zgodnie z nakazem zaciemniania.

Nieopodal figury znajdował się posterunek wojskowej służby ruchu. Tutaj, znakomicie dając sobie radę ze skomplikowanym, zagęszczonym ruchem drogowym, stały „regulirowszczyce" — a najczęściej kapral Tatiana Sapożnikowa, rosła dziewczyna z wydatnymi, czerwonymi jak dojrzałe jabłka policzkami. Na jej mocnym biuście połyskiwały medale: za Sewastopol i za Stalingrad oraz odznaka za pracę przy budowie moskiewskiego metra. Spod pilotki lśniły wspaniałe ogniste pukle. Bywało, gdy w nocy odmawiała posłuszeństwo bateria w kieszonkowej latarce, kapral Sapożnikowa pochylała się u piedestału Madonny i w świetle niegasnącej lampki sprawdzała rozkazy jazdy szoferów frontowych, dokumenty poplamione krwią i smarem.

Napisał

LEW SŁAWIN

Autoryzowany przekład: Maria Wisłowska

Ilustrowała dla „Tygodnia": Irena Kuczborska

Stały więc obok siebie obie władczynie dróg: jedna w szerokim kamiennym płaszczu, druga w żołnierskiej brezentowej pelerynie. Pewnego razu zwróciłem uwagę majora D. na to zabawne podobieństwo, co posłużyło mu za temat do jednego z jego najpiękniejszych wierszy.

Dwupiętrowy dom pana Adama Borkowskiego zamieszkiwała jego liczna rodzina. Dumni ze swego bogactwa państwo Borkowscy uważali siebie za najwyższą „magnaterię" w miasteczku. Pan Adam, senior rodu, był to niski, krzepki jegomość, z czarnymi kleksami brwi i wąsików na krągłym, wiecznie uśmiechniętym obliczu. Uśmiech jego przypominał uśmiech Japończyka; napięty spazm uprzejmości, maska dobroduszności, pod którą, jak można się było domyśleć, ukrywały się wyrachowanie, wiarołomstwo i tani sentymentalizm. Domysły nasze potwierdzały słuchy o pochodzeniu dobrobytu pana Borkowskiego: dom jego przed okupacją należał do Żyda.



...pan Adam aż do nocy krzątał się na swej masarni wśród kwiku konających prosiąt.

Na ramach drzwi jeszcze widniały zagłębienia od wyrwanych „mezuze" — miniaturowych zwijków „Tory", odgrywających u Żydów rolę świętych czy może magicznych obrazków, zwijków, przynoszących szczęście domowi. Teraz porozstawiano i porozwieszano wszędzie małe jaspisowe krucyfiksy, obrazki i posążki wyobrażające Matkę Boską Ostrobramską i Częstochowską, słowem, pełną rekwizytornię katolickich dewocjonalii. Pozostałe umeblowanie — kanapki i pufy, pluszowe obrusy, szydełkowe serweteczki i widoczki cmentarza genueńskiego — zachowywało trwały mieszczański charakter, niezmiennie ten sam pod każdą szerokością geograficzną.

Majątek króla kiełbas rozrósł się znacznie, chociaż mogłoby to się wydać dziwnym, — podczas wojny — na rachunek tych oszczędności, które zawierzali mu Żydzi, wygnani do ghetta. Niewielu z tych nieszczęsnych ocalało: bądź uratowali się ucieczką jeszcze w porę, bądź wyzwoliła ich błyskawiczna szybkość z jaką nasze czołgi wdzierały się w szranki niemieckie. Ci cudem uratowani ludzie przychodzili do pana Adama Borkowskiego po swoje pieniądze.

Poprzez cienkie przepierzenie, oddzielające nasze kwatery od pańskich apartamentów, dochodziły nas roznamiętnione głosy. Wymyślania padały naprzemian z błagalnymi prośbami. Potem z okna widzieliśmy płaczących ludzi, jak oddalali się zwolna, obsypując nasz dom biblijnymi przekleństwami.

Pan Adam stał przed bramą i odgryzał się żarcikami.

II.

Małżonkowie Borkowscy podzielili między sobą handel i przemysł równomiernie: w tym samym czasie kiedy pan Adam aż do nocy krzątał się na swej masarni wśród kwiku konających prosiąt, pani Genowefa, zakasawszy rękawy na pełnych muskularnych rękach, cała w ogniach gorliwości, handlowała w wędliniarni. Sklep należał do firmy i mieścił się w śródmieściu, nieopodal pomnika marszałka Piłsudskiego, uwieńczonego gipsowym orłem.

Starsza córka, pani Irena, niegdyś uczęszczała na uniwersytet i nawet sprawy literatury nie były jej obce. Przynajmniej przemawiała za tym okoliczność, iż z zapałem przychodziła do pewnej warszawskiej kawiarni, gdzie zbierali się słynni literaci i dziennikarze. Wybór odpowiedniego stolika pozwalał na dość dokładne obejrzenie oblicza poety T., a nadstawienie uszu — usłyszenie jednego z karkołomnych paradoksów felietonisty S.

Przy pomocy jednego z najlepszych w stolicy fryzjerów udało się pani Irenie przerobić swą chuderlawą piegowatą buziuchnę na obraz i podobieństwo standaryzowanej gwiazdy filmowej. Po zamążpójściu pani Irena uspokoiła się całkowicie. Obecnie spędzała całe dni, leżąc na kanapce i studiując kronikę wielkiego świata w przedwojennych tygodnikach ilustrowanych.

Niekiedy zza ściany dobiegały nas ochocze dźwięki mazura: „Bo w Mazurze taka dusza"..., co oznaczało, że przybył odkomenderowany z frontu po medykamenty mąż pani Ireny, dr. Jan Kopacz. Było to wielkie, głośne chłopisko, typowy parobczak. W jego wesołości kryło się jakieś poczucie niższości. Matka doktora była chłopką z Wileńszczyzny; o rodzicach doktora Kopacza nigdy nie mówiono w domu państwa Borkowskich, nie było to widać przyjęte.

Kiedy dr. Kopacz wypił sobie dwa kieliszki monopolowej, pukał do naszego pokoju i podchmielony, poufnym szeptem długo i nudnie kajał się „sowieckim towarzyszom", że sprzedał swoją „duszę polskiego chłopa" za dostatnie życie w roli zięcia króla kiełbas.

Pan Adam często powtarzał, że nie ma pociechy ze swoich synów. Młodszy Ryszard, przez długi czas wydawał się chłopcem posłusznym, łagodnym. Ale od pewnego czasu począł rodzicom przysparzać zmartwień. Sprecyzujmy: od czasu, kiedy radzieckie wojska oswobodziły miasteczko S. szlachetny entuzjazm, który wówczas ogarnął naród polski, porwał i młodego Ryszarda i kazał mu stanąć w szeregach Dywizji Kościuszkowskiej, która ramię w ramię z Czerwoną Armią przekroczyła Bug.

Pan Adam, po dłuższej naradzie z żoną, pojechał do Lublina, zabrawszy ze sobą kuferek, nabity asygnatami i tłustymi szyneczkami. Udało mu się wpakować syna na miejsce szofera do jakiegoś „pułkownika" intendentury. Ale wkrótce Ryszardowi sprzykrzyły się bezpieczne przejażdżki po gwarnych ulicach lubelskich i poprosił, aby wysłano go na front. Niebawem zasłynął jako jeden z najodważniejszych zwiadowców swojej kompanii i omal nie doprowadził do grobu starego ojca swym wstąpieniem do PPS.

Starszego syna, Tadeusza, „następcę tronu", oddawna cała rodzina uznała za nieżyjącego. Portret jego wisiał w dawnym pokoju dziecinnym: szczupła twarz, wysokie czyste czoło, oczy wpatrzone w dal z jakimś niepojętym fanatyzmem, zarazem smutne i wstydliwe, rysunek młodzieńczych warg śmiały i subtelny.

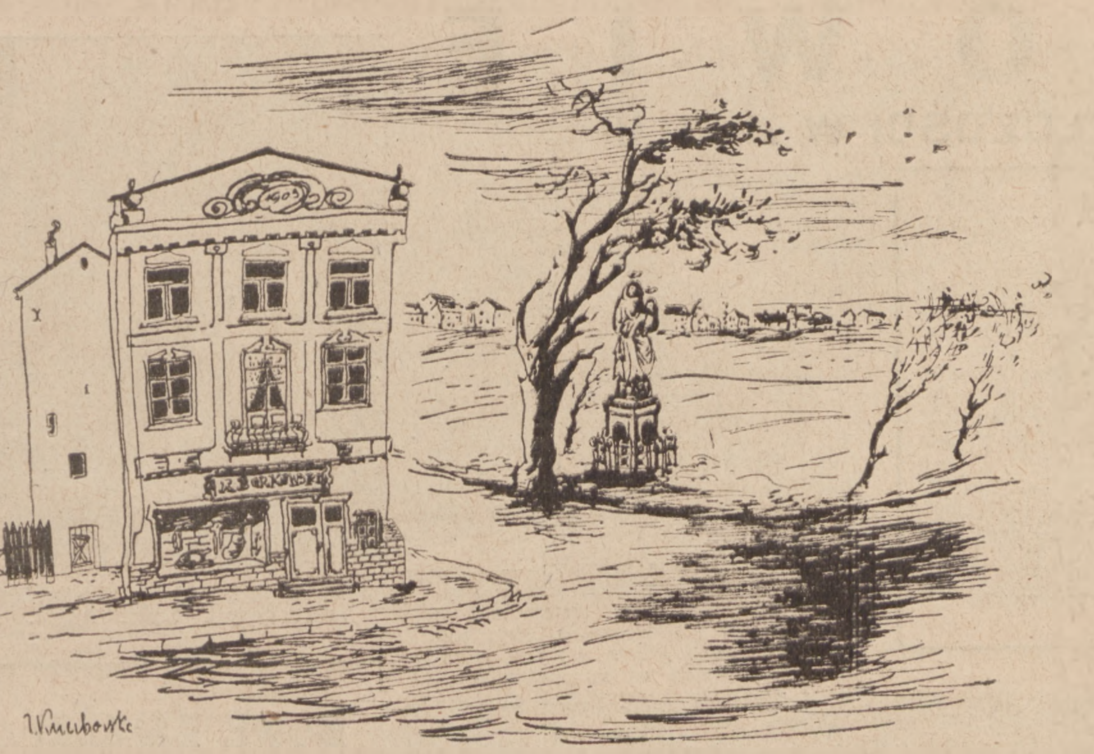
Opowiedziano nam historię Tadeusza. Wojna zastała go w Warszawie. Nie namyślając się wiele, poszedł na barykady. Jak wiele milionów Polaków, oczekiwał pomocy ze strony Anglików.– nadaremnie. Pomoc nie przyszła. Tadeusz dostał sie do niewoli. Niemcy wysłali go do Oświęcimia. Pan Adam powypychał kieszenie urzędników niemieckich i „volksdeutschów" łapówkami, aż wreszcie udało mu się dostać do rejonu Oświęcimia. Tam dowiedział się, że Tadeusza wywieziono do Buchenwaldu, a stamtąd do Mauthausen, potem jeszcze gdzie indziej, aż wreszcie ślad po nim zaginął w niezliczonych obozach rozsianych na terenie Generalnej Gubernii, Warthengau i starego Reichu.

Odtąd w ciągu pięciu lat w kościele Św. Stanisława w S. co niedzielę odprawiano mszę za spokój duszy ś. p. Tadeusza. Pan Adam nigdy nie zdejmował krepowej opaski z rękawa, nawet wtedy, gdy własnoręcznie bił świniaki.

Atoli historia Tadeusza nie skończyła się na tym. Przypadło nam w udziale zapoznanie się z jej dalszym ciągiem. Tadeusz żył i powrócił do miasteczka S.

III.

W dawnym pokoju dziecinnym w domu państwa Borkowskich obecnie stacjonował posterunek służby ruchu. Kapral Sapożnikowa utrzymywała kwaterę we wzorowym porządku, uważając ład w cudzym mieszkaniu za jeden z najważniejszych punktów honoru żołnierzy Czerwonej Armii przebywających poza krajem. Ani jeden drobiazg w umeblowaniu nie został ruszony z miejsca. Nad kojami fizylierki powiesiły „pepesze", na ścianie kapral Sapoż-



Przed samą bramą zbiegły się trzy drogi: na Lublin, na Brześć i na Warszawę, zajęta w owym czasie przez Niemców.

nikowa przybiła pluskiewkami portret Stalina, a w kącie ustawiła piramidkę z hantli. z którymi codziennie młoda lekkoatletka przerabiała ćwiczenia gimnastyczne.

Pan Borkowski był rad, że w jego domu mieszkają wojskowi. Noce w S. bywały niespokojne. Bezładna strzelanina wybuchała często na ulicy. Do bramy łomotano ze strasznym hałasem.

Król kiełbas drżącymi rękami uchylał wrota — i w szparze ukazywała się lufa dubeltówki, za nią subtelna fizjonomia z chaplinowskimi wąsikami, i baryton, ociekający groźbami i alkoholem, komunikował:

— My jesteśmy lotnym oddziałem Narodowych Sił Zbrojnych Armii Krajowej. Oto pokwitowanie na otrzymane od pana Borkowskiego pięć tysięcy złotych. Proszę odrazu w dużych banknotach, nie mamy czasu liczyć. Spieszymy się bardzo...

Nazajutrz milioner żalił się przed nami niedelwie z płaczem:

— Właściwie mówiąc, płacę dwa podatki: jeden na rzecz oficjalnego rządu w Lublinie, drugi niejawny na rzecz rządu w Londynie. Co za bałagan, proszę pana!...

W owym czasie niewielka banda, nazywająca się samozwańczo „dywizją Armii Krajowej", koczowała w lasach w okolicy Międzyrzeca i Białej Podlaskiej, tej Mekki „akowców". Strzały zza węgla i nocne szantaże stanowiły wojenną taktykę owej „dywizji". Przy sposobności „akowcy" nie omieszkali od czasu do czasu ukatrupić jakiegoś aktywisty ze związków zawodowych czy księdza, nastawionego pozytywnie względem demokracji, wracającego późną nocą od łoża konającego. O każdej takiej „akcji specjalnej„ raportowali Londynowi przy pomocy tajnego nadajnika radiowego, chełpiąc się nikczemnym zabójstwem jako wzniosłym czynem patriotycznym.

Czasami wybieraliśmy się z majorem D. na nocny spacer po ulicach S — ot, tak, aby zażyć trochę ruchu przed snem. Chodziliśmy wśród ciemności obcego miasta, omawiając ostatni numer „Gazety Literackiej", przysłanej z Moskwy na front. Głosy nasze dźwięczały echem wśród opustoszałych ulic. Recenzja z regionalnego almanachu, który ukazał się w Tambowie, pobudziła nas do wymiany zdań. Spór nas rozpalił, gadaliśmy. przerywając sobie nawzajem i wymachując rękami, w których tkwiły na wszelki wypadek nabite pistolety. Wiatr od Wisły świszczał w ruinach. Gdzieś na skrzyżowaniu ulicy Puławskiej zagruchotało od strzałów. Niewyraźne cienie przemykały się u bram domów. Żołnierze z komendy placu ścigali dywersantów. Mile odświeżeni literacką dyskusją wracaliśmy do domu.

Na froncie w owym czasie przycichło. Od kilku miesięcy front zatrzymał się na Wiśle. Coroczny obchód „Dnia artylerzysty" urządzano z wielką pompą. Wydawać by się mogło, że wszystka energia frontu odpłynęła na przygotowanie wystawy malarzy wojskowych urządzanej w drewnianych barakach w Mińsku Mazowieckim. Niektóre akwarele i akwaforty mogły by śmiało stać się chlubą pierwszorzędnej galerii obrazów w Europie.

Wysiłki te nie poszły na darmo: wywiad donosił. że Niemcy zaczynają skłaniać się ku myśli. iż Rosjanie przeszli na system wojny pozycyjnej. przekonawszy się oczywiście o niedostępności umocnień niemieckich. Marszałek Żukow podsycał w Niemcach owe wrażenia zręcznymi chwytami celowo fałszywych informacji, i równocześnie, z właściwą sobie bezlitosną metodycznością. przygotowywał straszne uderzenie styczniowe. Sztuczne przegrupowania naszych oddziałów umyślnie źle maskowane w rezultacie wprowadziły w błąd niemieckich szpiegów.

Tymczasem nadeszła zima. Uderzyła mocno. niemal. że rosyjskim mrozem. Wisła stanęła pod twardą powłoką lodową. Śnieg zawalił dwa niewielkie przyczółki mostowe. dwa „piątaki" wydarte przez nas w gęstwinie obrony niemieckiej

Na jednym z nich. niedaleko Puław, pewnej mroczne styczniowej nocy zjawił się Tadeusz.

Uciekł z obozu śmierci razem z dwoma kolegami, rosyjskimi brańcami. Kryjąc się po nocach, przedarli się przez Brandenburgię. Udało im się prześlizgnąć przez linię frontu.

Na widok wynędzniałej twarzy Tadeusza i jego niezrozumiałej mowy, rosyjscy zawiadowcy uznali, że jest pomylony. Być może zresztą, że tortury, przez jakie przeszedł młody Polak w niemieckich katowniach, rzeczywiście nieco zaćmiły jego umysł. Tadeusza skierowano do wsi Z., gdzie stały wówczas oddziały polskiego wojska.

Znalazł tu swego znajomka: był nim Jerzy Zwoliński. obecnie kapelan wojskowy, chłopak młody i pełen życia, nie tak dawno bramkarz drużyny „Polonia", a co najważniejsze, rodzony brat Zosi Zwolińskiej, o której przez pewien czas chodziły słuchy, że jest narzeczoną Tadeusza.

Jerzy ułożył przyjaciela na swojej koji. Ale ledwo minęła godzina, zjawił się i po tysiącznych przepraszaniach kazał mu wstawać, gdyż oddział ich otrzymał rozkaz odmaszerowania na front.

Było to dnia 13 stycznia 1945 roku. Tadeusz natychmiast wyraził gotowość wstąpienia do armii. Lekarz, który zbadał go na życzenie Zwolińskiego, orzekł jednak, że Tadeusz jest jeszcze zbyt osłabiony. Zdecydowano więc, że Tadeusz odpocznie przez kilka dni w domu rodzicielskim.

— Dogonisz nas po drodze na Berlin — oznajmił mu młody ksiądz. tryskający optymizmem i radością życia.

Wystawiono Tadeuszowi odpowiednie dokumenty i wsadzono go do ciężarówki, która odwoziła stare zużyte karoserie na tyły. na wschód. Porucznik zlitował się nad chorym chłopcem i ustąpił mu miejsca w szoferce.

Ciężarówka po wielu trudach dotarła wreszcie do Kałuszyna. Stąd Tadeusz musiał wyruszyć na piechotę. Maszyna dalej nie szła. Stanął tedy Tadeusz na skraju warszawskiej szosy. Ruch na niej był wielki. Ale wszystko parło na zachód, na front. Tadeusz p[illegible] dobre pół godziny, przemarzł do szpiku kości, aż wreszcie dowlókł się do wartowni komendatury ruchu drogowego.

Dyżurny — młody chłopaczyna o twarzy sprytnej choć zatroskanej — pokiwał nad nim głową .

— Skąd się wleczesz? — zapytał, a język jego był fantastyczną mieszaniną rosyjskiego i polskiego — poczem zajrzał do dokumentów Tadeusza i dodał.

— Do S. nie będzie maszyn. Sam widzisz — wszystko na Wisłę.

I roześmiał się szerokim, szczęśliwym śmiechem.

Tadeusz ruszył piechotą. Do S. jest nie więcej niż trzydzieści kilometrów, niepodobna, żeby po drodze nie nawinęło się jakie auto! Na szosie ruch taki żwawy!... Tadeusz czuł się dość rześko. Ogarnęło go podniecenie — ów dziwny stan, który występuje wśród największego znużenia i jest właściwie tylko jednym z jego objawów. Marzyło mu się bez ustanku, jak to on wchodzi w ojcowskie progi. Ojciec wychodzi mu na spotkanie ze swym stałym słodziutkim uśmiechem na ustach — i tym samym ugrzecznionym tonem, od którego papa nie odstępuje nawet w rozmowie z żebrakami, powie:

— Witam pana wędrowca z najgłębszym uszanowaniem, ale pomocą, niestety, służyć nie mogę...

I nie dokończywszy, jak nie krzyknie:

— Matko Boska, Królowo Niebieska... przecież to Tadeusz!...

A na ten krzyk zbiegną się wszyscy: i mamusia, i Irena, i ten smyk Rysiek, i doktór Janek, i ciocia Kazia, i chłopaki z rzeźni; śmechy, płacze, gorąca kąpiel z kulkami z igliwia, słowa bez ładu i składu, słowa szczęścia, czysta bielizna, pieczone prosię na stole, i rozkoszny sen w cieple rodzinnego domu...

Upojony marzeniami kroczył Tadeusz szosą; kędzierzawe włosy mierzwił mu wiatr. A był to wiatr jakiś niedorzeczny: walił prosto w twarz, to znów szarpał w bok, to znów w plecy. Ale tak czy owak na chwilę nie zostawiał w spokoju. Na polu kłębiła się śnieżna kurzawa. Tadeusza przejął lęk, że jeżeli ustanie w drodze, to zamarznie na śmierć. Szedł więc bez zatrzymania. Nogi miał zimne i twarde jak lód, a głowę pałającą.

Aż zdarzyło się coś wielce nieprzyjemnego: rozwaliły się buciory, które wczoraj pod Puławami podarował Tadeuszowi jakiś litościwy żołnierz rosyjski. Podeszwy zaczęły piec jak ogień. Ale Tadeusz nie tracił animuszu. Przecież kroczy po ziemi ojczystej. I wszystko wokół — i wicher. i zbity śnieg pod nogami, i sine pociemniałe niebo, i spasłe wrony nad drzewami — to wszystko swoje, polskie, to Polska własna, oswobodzona.

Zapadła noc. Samochodów na szosie było coraz więcej. Od czasu do czasu oślepiały reflektory, na sekundę ostro błyskał lód na szosie i kłębiły się roje pyłków śnieżnych.

(Dokończenie w następnym numerze)



PRZEDŁUŻAMY TERMIN
zgłaszania kandydatur do nagrody „Tygodnia"

Zapowiedź przyznania nagrody naszego pisma za najlepszą książkę polską, ogłoszoną w latach 1945/46 wywołała szerokie zainteresowanie w prasie, w kołach literackich i wśród naszych czytelników. Powodem tego są nie tylko liczne kupony do głosowania, napływające do naszej Redakcji, ale i listy Czytelników.

W listach tych przyjaciele nasi zwracają często uwagę na zbyt krótki termin, wyznaczony na głosowanie. Termin ten — zdaniem wielu naszych korespondentów — nie pozwala na głębsze przemyślenie kandydatur, co przecież nastręcza wiele trudności.

W związku z tym zdecydowaliśmy przedłużyć termin głosowania Czytelników do dnia 1 marca b.r.

Zwracamy uwagę głosującym na przepisy, dotyczące nagrody i prosimy o ścisłe ich przestrzeganie. Otrzymujemy wiele głosów, które będą musiały być unieważnione. Należą do nich np. głosy oddane na powieść Wiecha „Cafe bar pod Minogą", która nie ukazała się w wydaniu książkowym w terminie objętym regulaminem, a jest obecnie, w roku bieżącym, drukowana przez krakowski „Przekrój".

W następnym numerze „Tygodnia" powtórzymy zasady nagrody oraz zamieścimy kupon do głosowania dla Czytelników.

WEBBOWIE

PIONIERZY SPÓŁDZIELCZOŚCI W ANGLII

Beatrice Webb była jedną z najbardziej interesujących kobiet w Anglii — na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Urodzona w „towarzystwie" jako Beatrice Potter, córka bogatego przemysłowca, z czasem staje na czele ruchu Związków Zawodowych i ruchu spółdzielczego.

Jej małżeństwo z Sidneyem Webb należy do wypadków o znaczeniu historycznym. Webbowie razem z Bernardem Shaw są twórcami t. zw. „Fabian Society", które z górą przez sześćdziesiąt lat wywierało olbrzymi wpływ na formowanie się poglądów socjalnych w Anglii.

W roku 1930 Sidney Webb został ministrem w rządzie Mac Donalda i otrzymał tytuł lorda Passfield. Lecz Beatrice odmówiła przyjęcia tytułu męża i do końca pozostała Mrs. Webb. Umarła w 1943 r., w momencie gdy rząd Churchilla postanowił nadać jej mężowi Order of Merit (Order Zasługi).

Lecz zarówno rząd jak lord Passfield byli świadomi, że w rzeczywistości odznaczenie to odnosi się do zasług Mrs. Webb.

Wieloletnia przyjaciółka Beatrice Webb — Mrs. Cole wydała niedawno książkę poświęconą zmarłej działaczce. Książka ta była szeroko omawiana w całej prasie angielskiej, pisał o niej m. inn. G. B. Shaw. Poniżej podajemy — w wolnym przekładzie — jeden fragment z książki Margaret Cole.

W listopadzie 1883 r. Beatrice Potter pojechała pod przybranym nazwiskiem, jako „córka farmera", Miss Jones, do Lancashire, gdzie zamieszkała na peryferiach miasta Bacup w domu Johna Ashworth. Tam zetknęła się po raz pierwszy — na długo zanim powstała w niej myśl o poruszeniu w prasie kwestii związków zawodowych i ruchu spółdzielczego — z ludźmi, którzy je formowali. Podczas swojej pierwszej bytności (następnie przyjeżdżała do Bacup w r. 1886 i 1889) nie wyciągnęła żadnych wniosków natury ogólnej. Odkryła tylko istnienie ruchu spółdzielczego i olbrzymią rolę, jaką zaczął odgrywać. Z pewnym zdumieniem spostrzegła też, że czuje się zupełnie swojsko w rozmowie z robotnikami, którzy zwracali się do niej z całą swobodą i nie uważali jej za dziwną — mimo, że paliła papierosy, twierdzili tylko, że „rozmawia się z nią raczej jak z mężczyzną".

W roku 1887 kuzyn Beatrice, Charles Booth, filantrop, pozytywista, gorący czciciel wiedzy i przemysłowiec z zawodu, skierował ją jako robotnicę do przemysłu krawieckiego w East End w Londynie, celem zapoznania jej z tzw. „sweating system". Pobyt w East End pozwolił Beatrice na mocy własnego doświadczenia zorientować się w warunkach pracy w przemyśle.

W 1888 r. zaproszona przez Select Committee w Izbie Lordów, Beatrice Potter zdaje relację ze stosunków panujących w „Sweating System". Opiniowanie przed komisją Lordów nie było wydarzeniem szczególnie udanym.

Nieodpowiednie komentarze prasy, dotyczące wyglądu i ubrania Beatrice były nad wyraz irytujące, a jeszcze bardziej nieprzyjemne były komentarze, do podanych przez nią faktów o głodowych płacach robotniczych i wynikających z tego stosunków moralnych i socjalnych.

Beatrice odpowiadała na pytanie po raz pierwszy w życiu przed publicznością i zdaje się, że była z tego powodu zdenerwowana. Popełniła też parę pomyłek. Lecz, co najważniejsze, że zwolna doprowadzała do wniosków, których członkowie komitetu chcieli właśnie uniknąć. Zgadzali się owszem, że niektóre płace były rażąco niskie, i że płace rażąco niskie wywoływały straszliwe skutki — których zresztą dobrze wychowana młoda kobieta nie powinna była szczegółowo ujawniać — lecz filantropijni twórcy mieszkań robotniczych chcieli rozwiązać cały problem przy pomocy paru ustaw, przez wprowadzenie ostrej kontroli, nawet z odpowiedzialnością karną w wypadkach szczególnie aspołecznych osób. Podobnie jak Hitler w przedwojennych Niemczech — jakkolwiek w mniejszej skali i w sposób łagodniejszy niż w Trzeciej Rzeszy — szukali kozłów ofiarnych, na których upatrywali sobie Żydów, jako ostatecznych sprawców wyzysku. I oto zostali skonfrontowani z tą Miss Potter, która na pytanie: „Co pani może powiedzieć o stosunkach, panujących w „Sweating System"? — stwierdziła zwyczajnie:

„Wszystko co da się powiedzieć o „Sweating System" odnosi się do całości zagadnienia pracy najemnej, nieobjętej kontrolą Związków Zawodowych i Ustawy o pracy w fabrykach".

W sumie Beatrice Potter podała swój pogląd na kongresie spółdzielczym w roku 1892 w Rochdale w zdaniu: „Wyzyskiwany jest w rzeczywistości cały naród". Lecz w tym czasie Beatrice wskazała nie tylko na przyczynę wyzysku panującego w XIX w., lecz i na lekarstwo mające złu zaradzić. Teraz po ukończeniu badań w East End, Beatrice zaczęła się zastanawiać nad wyborem nowej dziedziny dla swoich studiów. Booth proponował, ażeby zabrała się do poznania warunków pracy kobiet i zdobyła stanowisko autorytetu w tej kwestii. Pomysł Bootha znajdował poparcie ekonomisty Alfreda Marshalla, wielkiego przyjaciela Beatrice, którego nieraz się radziła.

Po pewnych wahaniach porzuciła jednak tę myśl na korzyść innego przedsięwzięcia — ambitnego zamiaru — napisania książki o ruchu spółdzielczym. Zawsze bowiem pragnęła pracy pozytywnej na polu socjologicznym, pracy dotyczącej jakiejś żywej instytucji, którą klasyczni ekonomiści ignorowali. Ruch spółdzielczy był zagadnieniem, którego poszukiwała. Wiedziała, że był sprawą żywotną i rosnącą po prostu w oczach, a fakt, że nikt z jej znajomych go nie znał i że Marshall odradzał jej ten temat, dając do poznania, że jest młodą, zarozumiałą panną, absolutnie jej nie odstraszał.

Na początku r. 1889 Beatrice zaczęła pracować nad swą książką, która ukazała się p. t. „Ruch spółdzielczy" i okazała się — wbrew ponurym przepowiedniom Marshalla — jedynym bezstronnym studium tego zagadnienia na przestrzeni wielu jeszcze następnych lat.

Była to mała książeczka — i jak Sidney Webb zauważył — „napisanie jej powinno zabrać Beatrice sześć tygodni czasu, a nie siedem miesięcy". Książeczka ta była zarówno w typie jak konstrukcji charakterystyczna dla późniejszej wspólnej pracy Webbów.

Przez całą wiosnę i lato 1889 r., Beatrice tonęła w stosach sprawozdań z konferencji, bilansów związków i w plikach gazet, do tego dochodziły — jak dowiadujemy się z jej dziennika — wizyty w różnych towarzystwach spółdzielczych i spotkania z leaderami ruchu spółdzielczego, z których niejeden, jak Benjamin Jones, został jej przyjacielem już na resztę życia. Ponadto brała udział w sesjach z władzami centralnymi i w przyjęciach Stowarzyszeń Spółdzielni Hurtowych. W krytyce jednego z obiadów — „było to przyjęcie niczym groch z kapustą, dobre produkty źle się przysłużyły, gdyż były zmiatane przez uczestników w sposób zgoła nieapetyczny". czytelnik spotyka się z jej niechętnym nastawieniem do jedzenia i picia, które zwróciło później uwagę wielu ludzi, jako objaw charakterystyczny dla spółki Webb.

W listopadzie 1889 r. Beatrice zaczęła pisać swoją książkę. W tym czasie wyciągnęła już pewne ważne konkluzje.

Pierwsza z nich stwierdzała, że kooperatywy rozdzielcze były ważną i cenną pozycją w organizacji życia ekonomicznego społeczeństwa, którego alternatywą był ustrój kapitalistyczny, oparty o rentowność przedsiębiorstwa, układ, w którym Beatrice się wychowała. Druga mówiła, że spółdzielnie producentów w formie samorządowych warsztatów (co było ideałem pionierów ruchu spółdzielczego i swego czasu chrześcijańskich socjalistów) są bezskuteczne i niepożądane. Zdaniem Beatrice Potter sama inicjatywa produkcji winna być przejęta przez spółdzielnie z rąk niezależnych grup producentów. Z tymi dwoma tezami nowi przyjaciele Beatrice ze Związku Spółdzielców zgadzali się w zupełności. Beatrice potępiała samorząd warsztatów pracy, gdyż uważała go za niezdolny do konkurencji z kapitalizmem i przewidywała, że zasady Ruchu Spółdzielczego nie zabezpieczały dostatecznie interesów pracownika czy to w fabryce, czy za ladą.

„Z tych i innych przyczyn — pisze Beatrice — jest dla mnie rzeczą oczywistą, że silne związki zawodowe są konieczne dla przeforsowania norm płacy, uregulowania godzin pracy i zabezpieczenia jednostki od samowolnych potrąceń zarobków i kapryśnych zwolnień z pracy".

Leaderzy spółdzielczości — jak nieraz w dziejach tego ruchu — byli tak głęboko przekonani o zaletach swojej organizacji, że nie odczuwali potrzeby zabezpieczania interesów robotników w swoich przedsiębiorstwach. Beatrice była jednak tak głęboko przekonana, o swojej słuszności, że zanim zaczęła pisać swoją książkę o spółdzielczości, wiedziała już, że jej następne studia będą poświęcone związkom zawodowym.

Pierwsze jej zbliżenie z tym zagadnieniem nastąpiło we wrześniu 1889 r. w Dundee na Kongresie Związków Zawodowych. Był to rok wielkiego strajku robotników portowych, zorganizowanego przez socjalistów Bena Filleta, Toma Manna i Johna Burusa. W jedenaście lat później ich wpływ zadecydował o tym, że związki zawodowe przestały być przyczepką do polityki liberałów, a stały się podstawą dla Labour Reprezentation Committee.

W r. 1889 Trade - Unionism był zagadnieniem zbyt obszernym dla samej jednej Beatrice: stąd rozpoczyna się jej współpraca z Sidneyem Webbem. Lecz bezpośrednią przyczyną ich spotkania była nie sprawa związków zawodowych, lecz spółdzielczość. W październiku Beatrice przeczytała świeżo wyszłe z druku „Fabian Essays". W liście do jednego z przyjaciół napisała, że „essay Sidneya Webba posiada wyjątkowe znaczenie i jest napisany z wielkim zrozumieniem sensu historycznego". Później, gdy Beatrice potrzebowała pewnych źródłowych informacji o warunkach pracy w wieku XVIII, zwróciła się do Sidney Webba, który po prostu „tryskał wiadomościami". W styczniu 1890 roku nastąpiło spotkanie, podczas którego Sidney wręczył Beatrice Potter listę żądanych książek, wypisaną z kaligraficzną starannością. W połowie lutego Sidney Webb spotkał się na obiedzie w Devonshire Hous Hotel po raz drugi z Beatrice, tym razem w towarzystwie Boothów. Beatrice zauważyła wtenczas, że „ostateczna bezinteresowność" Sidneya nie da się z niczym porównać. Zdaje się, że Sidney Webb zakochał się w Beatrice od pierwszego wejrzenia. Beatrice prawdopodobnie wiedziała o tym, nie była naiwna, ani nieświadoma wrażenia, jakie jej warunki zewnętrzne w połączeniu ze wspólnym z Sidneyem światopoglądem musiały wywrzeć. Oczywiście, z jej strony cały proces był znacznie powolniejszy. Była już raz zakochana 1) i nie mało z tego powodu przecierpiała. A teraz była raczej zajęta ustawianiem swojej pozycji jako kobiety niezależnej. Poza tym Sidney Webb nie był mężczyzną, w którym czarująca Beatrice Potter mogłaby się z miejsca zakochać. „Lecz lubię go — skonstatowała Beatrice i właśnie to małe słówko „lecz" mieści pewien procent przyszłych możliwości. Znajomość między Beatrice i Sidneyem postępowała gwałtownie naprzód. Wymieniali informacje, książki i poglądy.

W Zielone Świątki pojechali razem z wielu robotnikami na kongres spółdzielczy do Glasgow. Tam Sidney Webb wyznał Beatrice swoją miłość. I tak zdarzyło się, że w wieczór zielonoświątkowy, w tłumie podchmielonych robotników dwoje socjalistów zawarło pakt wspólnoty w pracy i w życiu.

---

1) W Józefie Chamberlainie, ojcu Nevilea.



Beatrice Webb była jedną z najbardzeij interesujących kobiet Anglii.

NOWE KSIĄŻKI

Lucyna Krzemieniecka. „O Jasiu Kapeluszniku". Ilustrowały: Anna Biernacka i Wanda Wernerowa. Łódzki Instytut Wydawniczy. Łódź, 1947, str. 22.

Lucyna Krzemieniecka. „Czarodziejski światek". Ilustrował Roman Szałas. Księgarnia Naukowa. Łódź 1947, str. 44 i 2 nl.

„Kto zawinił?" Proces o zabójstwo śp. Bolesława Ściborka. Według stenogramu ułożył **S. Krajewski.** Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. 1947, str. 64.

Jan Aleksander Król. „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej". Państwowy Instytut Wydawniczy. 1947, str. 281 i 3 nl.

Jan Dobraczyński. „Szata godowa". Okładkę projektował A. Krakowski. Wydawn. Księgarni Z. Gutowskiego. Poznań. 1947, str. 224.

Zofia Dróżdż - Satanowska. „Niewydeptane ścieżki". Ze wspomnień partyzanckich. Wydawnictwo „Panteon", Warszawa, 1947, str. 304.

Jerzy Pertek. „Pod polską banderą wojenną". Z rysunkami Z. Eichlera i Cz. Borowczyka. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań. 1946, str. 45.

Peregrinus. „Miasta niemieckie dzisiaj". Okładkę projektował L. Kaczyński. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań. 1946. str. 100.

Halina Wierzejska. „Pogadanki religijne dla małych dzieci". Ilustracje autorki. Księgarnia św. Jacka. Katowice b. r., str. 69.

Roman Kołoniecki. „Elegie Zielonoświąteczne". Wydawnictwo Wł. Bąka. Łód — Wrocław. 1946 r., str. 62.

Mjr. Tadeusz Chlebowski. „Katalog poczty obozowej w Murnau". Wydawnictwo „Nowe horyzonty". Przemyśl. 1947 r. str. 24.

S. Zajączkowski. Prof. Uniwersytetu Łódzkiego. „Dzieje Zakonu Krzyżackiego". Wydawnictwo Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa. 1946 r., str. 138.

Halina Górska. Wspomnienia. „Nad Czarną Wodą". Wydawnictwo Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Warszawa 1946, str. 176.

Irena Tarłowska. „Łódź w walce o wolność". Wydawnictwo Komisji Historycznej przy komitecie łódzkim P. P. R. Łódź. 1946, str. 138.

Władysław Gomułka (Wiesław) „Dzieje walki — myśli", Wydawnictwo Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Łódź, 1947 r., str. 30.

Maria Konopnicka. Nowele: „Głupi Franek", i „W winiarskim forcie". Wydawnictwo Spółdzielni Wydawniczej „Książka". 1946, Warszawa, str. 53.

Michał Hofman. „Chmura nad Bakini". Wyd. Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa. 1946, str. 76.

Adam Schaff. „Pojęcie i słowo". Wydawn. Spółdzielni Wydawniczej „Książka", str. 76.

Wilhelm Sowiński. Prof. Uniwersytetu Łódzkiego. „Niepłodność i niemoc płciowa u kobiet". Wydawnictwo Spółdzielni Wydawniczej „Książka", str. 163.

Janusz Korczak. „Na koloniach letnich". Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 151.

Maria Rutkiewiczowa. „Roman Zambrowski". Wydawnictwo Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Łódź. 1947, str. 80.

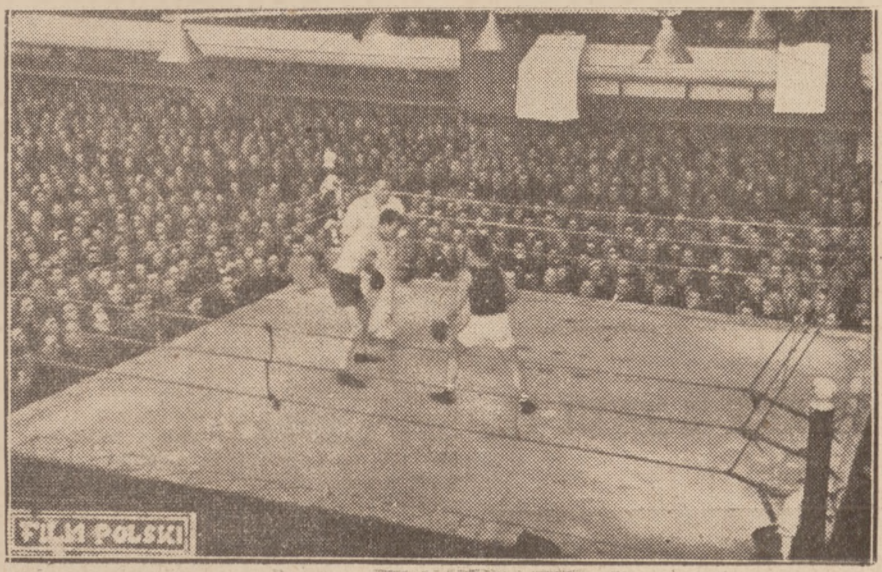
WIADOMOŚCI SPORTOWE

Reprezentacja bokserska Polski rozegrała 8 z rzędu mecz międzynarodowy z Czechosłowacją. Przed wojną walczyliśmy z Czechami 5 razy ze zmiennym szczęściem. Natomiast po wojnie mieliśmy dotychczas dwa spotkania. W Poznaniu odnieśliśmy zwycięstwo 10:6, a w Pradze przegraliśmy 7:9. Ten ósmy mecz z Czechami stał więc pod znakiem zapytania i wielkiej niepewności. Czesi przygotowywali się do spotkania tego od dłuższego czasu i przyjechali do Warszawy w swoim najlepszym składzie za wyjątkiem Livańskiego w wadze ciężkiej, którego zastąpił Rademacher. Polska odniosła w Warszawie przy zapełnionej szczelnie publicznością hali na Służewcu wspaniały sukces bijąc drużynę Czeską 12:4. Zwycięstwo to jest dla nas tym milszym sukcesem, że nie spodziewaliśmy się pokonać przeciwnika swego w tak druzgocącym stosunku punktów. Na osiem rozegranych walk, przegraliśmy tylko dwa spotkania. Zawiedli w danym wypadku Leczkowski i Sowiński, którzy oddali w sumie cztery punkty. W wadze muszej Bazarnik (P) pokonał na punkty znanego w Polsce boksera Czeskiego Zacharę. W wadze koguciej Grzywocz (P), wypunktował po niezbyt przekonywującej walce Strbę. Natomiast w wadze piórkowej Leczkowski przegrał swój pojedynek jak i w wadze lekkiej Sowiński oddał bardzo cenne punkty. Do wagi półśredniej wynik brzmiał 4:4. Szalę zwycięstwa przechylił na swoją stronę Olejnik, który pokonał swego przeciwnika przez dyskwalifikację. Kondela bił w tył głowy i po trzech ostrzeżeniach w trzeciej rundzie został zdyskwalifikowany. Olejnik miał jednak wyraźną przewagę i zwycięstwo jego nie ulegało wątpliwości. W wadze średniej Kolczyński rozegrał jedną z najciekawszych walk jakiej nie oglądaliśmy od dawna na ringach polskich. Przeciwnik Kolczyńskiego Torma okazał się zawodnikiem nadzwyczaj twardym i silne ciosy Kolczyńskiego nie robiły na niego żadnego wrażenia. Zwyciężył ostatecznie nieznacznie na punkty Kolczyński. W wadze półciężkiej niezawodny Szymura wypunktował Cardę, a w ciężkiej Klimecki wygrał z Rademacherem. Warszawska publiczność zawodnikom naszym zgotowała gorącą owację. Zwycięstwo to jest tym cenniejsze, że ostatnio opinia sportu bokserskiego Polski została nieco zachwiana po uzyskaniu wyniku remisowego w Sztokholmie w meczu ze Szwecją.

Mistrzostwa hokejowe Polski dokończone zostały w Krakowie. Po zawodach Łodzi Wisła i Cracovia uzyskały równą ilość punktów i zgodnie z regulaminem oba te kluby musiały stoczyć z sobą jeszcze jedną decydującą walkę. Cracovia broniąca tytułu mistrza Polski z roku 1946 potrafiła odnieść zwycięstwo nad Wisłą 4:3 zdobywając w tym samym ponownie tytuł mistrza Polski. Najlepszym graczem na lodowisku był przedwojenny nasz olimpijczyk Wołkowski — strzelec czterech bramek. Doskonale grał również Kasprzycki na obronie. Hokeiści polscy wyjeżdżają na dwutygodniowy obóz treningowy do Budziejowic (Czechosłowacja) przed mającymi się odbyć w Pradze mistrzostwami hokejowymi świata. Polska znalazła się w grupie razem z Czechosłowacją i Rumunią. Z każdej grupy dwie drużyny wchodzą do finałowych spotkań. Wystarczy nam odnieść zwycięstwo nad Rumunią, żeby móc brać udział w finałowych spotkaniach, co w dużej mierze przyczynić się może do podniesienia formy naszych graczy przez rozegranie szeregu spotkań z najsilniejszymi drużynami świata.



Przed wyjściem na ring



Bokserzy polscy w spotkaniu z czechosłowackimi — odnieśli druzgocący sukces, bijąc ich 12:4.

KRONIKA KULTURALNA

PIKANTNE szczegóły o krakowskiej nagrodzie literackiej podaje Jerzy Zagórski w artykule p. t. „Konspekt ze Staffa" („Tygodnik Powszechny nr 96). Ustalił się w Krakowie zwyczaj (kochany Kraków zawsze musi mieć tradycje), że mniej więcej co kwartał przyznawana tam jest nagroda literacka w kwocie 30 tysięcy. Pierwszy raz dostał ją Otwinowski, za drugim razem Andrzejewski, teraz nadeszła kolej trzeciego, nagroda bowiem, jak widzimy, jest czymś w rodzaju nagrody przechodniej, i licząc po czterech nagrodzonych rocznie, można będzie w ciągu mniej więcej dziesięciu lat nagrodzić wszystkich literatów, aby się nikomu krzywda nie stała. Otóż, za trzecim razem wysunięto wedle porządku Zawieyskiego. Sprawiedliwie. Ktoś jednak z jury przypomniał sobie po niewczasie, że w Krakowie żyje Staff, jak dotychczas większy od Otwinowskiego, Andrzejewskiego i Zawieyskiego. Więc uhonorować Staffa — po Otwinowskim i Andrzejewskim, a przed Zawieyskim, który może kwartał poczekać. Toteż Zagórski pisze rozumnie. „Ustawienie w sekwencji za Otwinowskim i Andrzejewskim Staffa nie wydaje się dostojne. Z wieku mu i urzędu należy się inna nagroda, w innej skali — i administracyjnej i cyfrowej".

KAZIMIERZ BRANDYS, autor „Miasta niepokonanego", czyni w „Kuźnicy" nr 5/74) uwagi o psychologii dzisiejszego pisarza polskiego. Powiada: „Dzisiejszy pisarz inteligent, to osoba z przeszłością. Wyrósł z dwudziestolecia, klęskę zrozumiał dopiero, oślepiony jej gromem. Nie może tego okresu suchą stopą przekroczyć, nie może oszukać samego siebie. Tam, w tych czasach, rosło wraz z jego losem to, w czym dziś zanurza pióro: obraz, przeżycie, przygoda. Fakt, że okres ten został przez niego przeżyty z gorzkim i wyniosłym odczuciem własnej samotności, jest prawdą tylko psychologiczną, nie popartą obiektywną racją. To pewne. Ale to subjektywne odczucie musiało znaleźć swój wyraz w literaturze... dwulecia". Oczywista. Trudno się w okamgnieniu zmienić, przeobrazić, przeistoczyć. Tę sztukę posiadają tylko transformiści. Pisarze jako ludzie dość skomplikowani psychicznie i delikatni, pisarze — owe osoby z przeszłością, jak określa ich smutno — ironicznie Brandys, mogą raczej powtarzać za poetą filozofem: „Wszystko palę, co kochałem, wszystko kocham, co spaliłem" — i ewolucyjnie kroczyć drogą twórczości.

St. Łatka

NAPÓJ ZE ŹRÓDŁA

TEATRY poznański i śląski wystawiają z powodzeniem „Rewizora" Mikołaja Gogola. Jest to zapewne najbardziej klasyczna, niewzruszona w swej monumentalności, komedia z żelaznego repertuaru teatrów rosyjskich, grana nieprzerwanie od lat przeszło stu, ściśle od roku 1836.

Fabuła jej jest pospolita — powiada Bruckner. Istotnie. Streśćmy ją za soczystym Brucknerem: „Szajka urzędnicza rozbijająca się w miasteczku, dowiedziała się, że senat wysłał na nią z Petersburga rewizora; przypadkiem utknął dla braku grosza w oberży miejskiej lekkoduch z Petersburga, a urzędnicy upatrzyli w nim owego rewizora, więc fetują go i przekupują, on między nimi pływa jak pączek w maśle, ale wynosi się zawczasu; list jego do przyjaciela, przejęty przez ciekawego pocztmistrza, wykrywa omyłkę; przerażonych urzędników, wzywa żandarm do prawdziwego rewizora, który właśnie przybył. Oto cały wątek komedii. I nawet nieoryginalny, jeden bowiem z pisarzów ukraińskich (zdaje się Grzegorz Kwitka 1778 — 1843), od którego Gogol zaczerpnął niejeden motyw, napisał był podobną komedię w duchu ludowym. Co więcej: analiza literacko - krytyczna i historyczna tworzywa, z jakiego powstał „Rewizor", wykazałaby w nim obecność wielu odwiecznych motywów komediowych, zużytkowanych nie tylko przez Moliera, ale już przez Plauta, czyli ogólnoludzkich, powtarzających się w utworach literackich tak, jak się w życiu powtarzają zjawiska i sytuacje. Mamy więc w „Rewizorze" typową, plautowsko - molierowską „komedię pomyłek", z jej komizmem sytuacyjnym i komizmem charakterów; znajdziemy plautowsko - molierowską postać lekarza, i zaufanego sługi, i samochwała, którym jest pseudo - rewizor Chlestakow, łączący w sobie jednocześnie cechy plautowskiego „parasita" czyli pasorzyta - pieczeniarza (swoistą odmianą jego jest u nas Papkin); odszukamy klasyczny motyw „sobowtórów", przetworzony w postaciach Bobczyńskiego i Dobczyńskiego; stwierdzimy, że akcją komedii rządzi klasyczny „motyw przypadku"; że nazwiska bohaterów są tzw. mówiący czyli brzmieniem swoim charakteryzują osobę, np. Swistunow, Dzierżymorda (policjanci), kupiec Abdulin, od słowa „obdutj" — oszukać itp. Najważniejsze z tych nazwisk jest nazwisko samego Chlestakowa, wywodzące się od czasownika „chlestatj", które oznacza i „chłostać", „smagać", „biszować" (on jest tym biczem satyry Gogolowej), i oznacza również „lać", „chlastać", leje się bowiem z niego blaga, głupstwa, próżność, małość nicość ludzka i zlewa się zgodnie ze światem, który go otacza, a który jest taką samą nicością".

Rozpatrując tedy „Rewizora" krytycznie — literacko, możnaby powiedzieć: nihil novi sub Jove. Ale takie szkolarskie ujęcie komedii równałoby się, dajmy na to, belferskiemu potraktowaniu Szekspira jako pisarza nieoryginalnego, ponieważ trzy czwarte bodaj wątków w jego dramatach jest zapożyczonych. Oryginalność jest czymś innym. Jeśli Mickiewicz mówi: „Nie raz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie, a ono jest wyssane w macierzystym chlebie, albo nim nauczyciel poił echo twoje, zawżdy część swojej duszy mieszając w napoje" — jeśli Mickiewicz tak mówi, jest właśnie oryginalny, albowiem przyznaje się, że nic powstał z niczego, lecz przecież z czegoś się zrodził, miał jakiś początek i pochodzenie, miał swych wielkich poprzedników i ojców duchowych, jak będzie miał swych następców. Pierwiastkiem wyrazu „oryginalność" jest łacińskie słowo „origo", a ono znaczy początek i pochodzenie. Uświadomienie sobie swego pochodzenia artystycznego decyduje u artysty o jego oryginalności, o znalezieniu siebie. Norwid lapidarnie ujął tę sprawę w zdaniu: „oryginalność jest to tylko sumienność w obliczu źródeł". Sumienność ta jest rzeczą trudną. Toteż głębią tchną słowa Norwida, wyjaśniające, na czym owa sumienność polega: „Z karafki napić się można, ucisnąwszy ją za szyję i pochyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło".

Gogol pijał nie z karafki, jak to czyni wielu łatwych i hałaśliwych pisarzy, lecz, jako oryginalny i wielki artysta, pijał ze źródła. Było ich dwa: literatura (bezpośrednio najbliższy mu Puszkin) i drugie bijące źródło twórczości — życie. Z tych dwóch zrodził się i „Rewizor". Być może, pierwszym nawet jego źródłem było życie — ówczesne życie Rosji mikołajewskiej, które umiał wchłonąć w siebie, przeżyć, przetrawić, a potem przemyśleć jako twórca prawdziwie oryginalny. Drugie źródło — literatura nadała kształty artystyczne temu życiu i pozwoliła umieścić je w takich perspektywach, jakie wykreślić może tylko genialny artysta — innymi słowy pozwoliła stworzyć dzieło i postaci już nie tylko narodowe i krajowe, lecz ogólnoludzkie, powszechne i nieprzemijające.

Zuchwalstwem byłoby zamknąć w ciasnych rozmiarach felietonu pobieżną nawet interpretację „Rewizora". Jeżeli czytelników nie znudzę, poświęcę mu dwa, i oczywista — obydwa niewyczerpujące. Następny będzie o Chlestakowie — o powszechności i wieczystości tej postaci, od której nazwiska język rosyjski urobił termin „chlestakowszczyzna" na oznaczenie czegoś, co jest blagierstwem, mydleniem oczu, udawaniem znajomości rzeczy, samochwalstwem, mistyfikacją, a w której Gogol — według własnego wyznania — chciał zawrzeć jakowąś syntezę kłamstwa. Każdy człowiek, zdaniem jego, jest choć przez chwilę w życiu Chlestakowem.

Niniejszy felieton zakończmy króciutkim przypomnieniem „prapremiery" „Rewizora", która się odbyła 19 kwietnia 1836 r. w Petersburgu. Tę chłoszczącą satyrę, po skrótach dokonanych w niej przez cenzurę zdołał Gogol wystawić tylko dzięki „najwyższemu" zezwoleniu Mikołaja I, który się drapował niekiedy w togę Augusta, biorącego miłościwie pod opiekę Muzy.

Podobno po przedstawieniu Mikołaj wyrzekł z patosem: „Ależ sztuka! Wszyscy w niej oberwali, a najbardziej ja". Sztuka upadła. Widzem jej był bowiem ów „wielki świat" biurokracji carskiej, skorumpowany i służalczy, którego obraz Gogol właśnie odmalował. Świat ten przejrzał się w komedii jak w zwierciadle, bynajmniej nie krzywym, lecz najwierniej oddającym rzeczywistość. Oburzeniu nie było końca. Z autorem załatwiono się prosto, wypróbowaną metodą insynuacji, oszczerstw i pogróżek. Jakże to? — mówiono i pisano: — „dziś nam powie, że ten radca nic nie jest wart, a jutro powie, że Boga nie ma". Gogol, przy swej wyczulonej wrażliwości, popadł w rozpacz. „Zagrano Rewizora — pisał do przyjaciela — a na duszy tak mi smutno, ciężko, nieznośnie. Ogarnia mię nuda i tęsknota trująca". Ale ta reakcja publiki i ten stan duchowy pisarza, to były normalne etapy, jakie musi przejść każda wielkość w drodze do chwały. „Laur — to ciernie" — rzekł Norwid. Gogol musiał się poranić o ciernie, aby potem uwieńczyć się laurem.

JERZY WYSZOMIRSKI

NA SCENACH POLSKICH



Scena z IV obrazu „Homer i Orchidea". Na zdjęciu: Danuta Szaflarska (Orchidea), Jacek Woszczerowicz (Homer), Stanisław Bugajski (Hipiasz).

„HOMER I ORCHIDEA"

sztuka w 3 aktach Tadeusza Gaycego

W puściźnie literackiej po Tadeuszu Gaycym, działającym czasu okupacji pod konspiracyjnym nazwiskiem Karola Topornickiego, a poległym w powstaniu warszawskim, pozostała sztuka dramatyczna p. t. „Homer i Orchidea". Zaopiekował się nią Iwo Gall, który jak wiadomo — prowadził podczas okupacji w Warszawie tajne studium teatrologiczne. Teraz wystawił ją w Gdyni na otwarcie sezonu w teatrze p. n. „Wybrzeże". Sztuka jak można wnosić z recenzji, otrzymała wyborną oprawę inscenizacyjną, dekoratorską, muzyczną i aktorską, i dzięki temu Teatr „Wybrzeże" zdobył od razu poczesne miejsce śród teatrów polskich.

Po sukcesach „Homera i Orchidei" w Gdyni, przyszła kolej na sukcesy tej sztuki w Łodzi. Wystawia ją tutaj Teatr Kameralny Domu Żołnierza w opracowaniu i reżyserii, Józefa Wyszomirskiego, z Jackiem Woszczerowiczem w roli Homera i przy współudziale Danuty Szaflarskiej (Orchidea) i Jerzego Duszyńskiego, (Chilon — przyjaciel Homera), spopularyzowanych przez „Zakazane piosenki". Tej ostatniej okoliczności zawdzięczać zapewne głównie należy powodzenie sztuki i niebywały tłok w teatrze, nie jest to bowiem rzecz, która by mogła przemówić do t. zw. szerokich mas, nawet przy najdoskonalszej reżyserii i grze aktorów. Gaycy, który był wyznawcą Norwida, przejął się jego poglądami na sztukę („Promethidion") i dawał im wyraz w redagowanym przez siebie piśmie podziemnym „Sztuka i Naród". Chodzi tu nie tylko o pogląd na zadania i cele sztuki ale i jej odbiorców. Norwid, uważał, że „piękno", aczkolwiek ma cel praktyczny, przeznaczone jest dla „kasty wiednej" czyli wiedzącej, uświadomionej, rozumiejącej je, odpowiednio wychowanej do przyjęcia go. Rzecz inna, że trzeba dążyć do tego, by każdy mógł pojąć piękno (swego rodzaju upowszechnienie kultury), mimo to piękno pozostaje poniekąd jak się wyraził Norwid — „mądrym arystokratą", chociaż „arystokracja" oczywista duchowa) „jest bo i u gminu, jak między szlachtą gmin też bywa czasem". Otóż, sztuka Gaycego w tym sensie jest niewątpliwie „elitarna", jak wystawiena roku zeszłego w Łodzi „Elektra" Giraudoux. Trzeba mieć stosowne przygotowanie — i klasyczne, i mitologiczne, i historyczne, i filozoficzne, żeby ją przyjąć i należycie nad nią rozmyślać, zwłaszcza, że autor przetwarza na swój sposób mit o Homerze, o jego ślepocie, o cierpieniu, jakie na niego spada za to, że śmiał przeciwstawić się Apollinowi („wiem ja, że artystów czołem są męczennicy" — powiada Norwid), snując na tym tle filozoficzną ponad czasową myśl o powołaniu genialnego poety, którego tłum naprzód odtrąca, aby potem uznawszy go, korzyć się u jego stóp. Innymi słowy: tłum staje się „wiedny".

Taka problematyka sztuki wymaga wielkiego wysiłku reżysera i aktorów, których obowiązkiem jest uprzystępnić tę problematykę widzowi — wysiłku tym większego, że sama kompozycja sztuki nie jest bynajmniej arcydziełem. „Homer i Orchidea" — to raczej luźne sceny dramatyczne, niźli konstrukcja wypełniona zwartą i związaną ze sobą akcją. Są tutaj dłużyzny; zbyt długie monologi, zbyt abstrakcyjne dialogi, przesycone rozważaniami. Najlepszy scenicznie jest akt drugi: kilka scen zbiorowych, uczta młodzieży, bunt tłumu przeciw ślepnącemu Homerowi i wypędzenie go wraz z Orchideją z rodzinnej wioski. Świetna jest scena końcowa, gdy Woszczerowicz recytuje, wpadając w tok heksametru, dłuższy fragment z „Odyssei" (w przekładzie Wittlina), wszelako ten finał sztuki przemawia bezwarunkowo już tylko do „wiednych". Jakkolwiek bowiem, wystawienie „Homera i Archidei" w Łodzi jest wydarzeniem teatralnie i kulturalnie pozytywnym.

St. Łatka.

KONCERT NA INSTRUMENTACH Z XVIII W.



W Białej Sali Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu odbył się ciekawy koncert na instrumentach muzycznych w 18 wieku: na klawesynie i violi d'amore. Viola d'amore jest to instrument smyczkowy siedmiostrunny, znany muzykom w epoce saskiej i stanisławowskiej. Jedyny egzemplarz znajdujący się w Poznaniu, pochodzi z pracowni Uldarika Eberlle z Pragi Czeskiej (1748 r.). W koncercie tym grał na nim Jan Rakowski. Klawesyn zaś był wyrabiany seryjnie we Francji (Pleyell) i w Niemczech. Na klawesynie grał **Kazimierz Platan.** Koncert obu muzyków spotkał się z życzliwym przyjęciem ze strony publiczności i prasy.

KONKURS URBANISTYCZNY W POZNANIU

Oddział Poznański Stow. Architektów R. P. (S. A. R. P.) ogłosił wspólnie z Tow. Urbanistów Polskich konkurs powszechny na rozplanowanie Targów Poznańskich z zespołem Dworca Kolejowego — Pocztowego i Autobusowego oraz bloku „Społem". Nagrody wynoszą (łącznie 550.000 zł.), z czego pierwsza stanowi 200.000 zł.).

Sąd konkursowy stanowią pod przewodnictwem Prezydenta Miasta profesorowie S. Filipkowski, R. Gutt, B. Pniewski, architekci R. Pieńkowski, R. Sławski, a ponadto przedstawiciele instytucji zlecających konkurs: Zarządu Miejskiego, Min. Komunikacji, Min. Poczt oraz „Społem". Warunki do nabycia od 12.II. we wszystkich oddziałach S. A. R. P. oraz w Poznaniu (Noskowskiego 2). Termin złożenia prac — 10 kwietnia r. b.

DOKTOREK I HRABIA

czyli, „Szlachectwo duszy"

Z prawdziwą przyjemnością sygnalizuję bardzo udane przedstawienie w teatrze Milicji Obywatelskiej przy ul. Karowej: jest to „Szlachectwo duszy" Jana Chęcińskiego.

Kim był Jan Chęciński? Niejasno jakoś łączyło mi się to nazwisko ze wspomnieniami dzieciństwa: istotnie pisywał książki dla młodzieży, ale tytułów za nic nie mogę sobie przypomnieć. Urodzony na przełomie pierwszej ćwierci dziewiętnastego wieku, prowadził Chęciński tak zwaną ożywioną działalność, pisując — jak wiadomo bardzo dobre — libretta do oper Moniuszki.

To wszystko wiemy i stąd go pamiętamy. Dlaczego jednak nie zasłynął jako autor paru dobrych sztuk teatralnych, i dlaczego przy takich wielkich zdolnościach nie napisał lepszych — to już jest „polska, bardzo polska" tajemnica. Libretta, książki dla młodzieży, bardzo to wszystko ładne, ale przy takim talencie pisze się po prostu stale na scenę i już. Żałosny, polski partykularz przezwyciężył Moniuszko mocą swego geniuszu, słabszy Chęciński załamał się.

Ze śliczną jego sztuczką polemizuje we wstępie do programu Mieczysław Rulikowski, ale ja bym się z Rulikowskim nie zgodziła: trudno żądać od Chęcińskiego, żeby pisał, jak marksista. I tak, jeżeli chodzi o śmiałość poglądów, wypowiedział bardzo wiele, a że jego chłop rzuca setkami tysięcy, to, sądzę, nie zapatrywania autora winne, ale prawdopodobnie po prostu wzory lichych sztuczydeł — być może francuskich — którymi sobie Chęciński dopomógł.

Zasługę ma tu Chęciński jeszcze jedną — prócz błyskotliwego dialogu i płynnego wiersza — oto nie tylko wystąpił ze szlachetną tendencją, ale i pokazał — skromnie i spokojnie, ale dobitnie — pierwszego polskiego inteligenta, na scenie po nadętym nieco studencie Bardosie, jak to wbrew jednostronnym dowodzeniom, wyszedł nie tylko ze zbiedniałej szlachty, ale i z twardego ludu i jak z uporem i wiarą w siebie będzie sobie przebijał drogę do masta i do prawdziwego zawodowstwa. Sympatyczny doktorek Czesław, który po głowie hrabskiego rywala dojdzie do miłej dziewczyny, to nie tylko przyjemna postać sceniczna, ale przyczynek do pochodzenia i sytuacji życiowej polskiej inteligencji, która — co tu długo gadać — właśnie razem z chłopem i robotnikiem stanowiła polski proletariat, a że nie zawsze to rozumiała — trudno.

Sztuczka Chęcińskiego wystawiona została świetnie, i zagrana trafnie. Bardzo przyjemną dekorację zrobił Tadeusz Błażejowski, a kostiumy panów i suknie pań były tak stylowe, kolorystycznie sharmonizowane i starannie wykonane, że mogłyby zawstydzić Teatr Polski z jego „Szkołą Obmowy".

Na czoło wykonawców wysunęła się Joanna Poraska: była i stylowa i ładna, a jej „zemdleję" wypowiedziane było melodyjnym głosem i tak rozmaicie modulowane, że za każdym razem na nowo bawiło i zadziwiało. Pełna wdzięku Seredyńska jako Aniela, energiczny Jastań — Wilczura, kąśliwy baron Tatarkiewicza, żwawy hrabia w interpretacji Lindnera, pełen prostoty Buratowski jako doktorek i Śmieszko w roli sługi — to zgrana ekipa, która dobrze siedziała w swoich komediowych skórach.

Stylowo dobrana muzyka Mohtaka i pomysłowa reżyseria Butryma, walnie się przyczyniła do poziomu przedstawienia.

WANDA MELCER

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Warszawa, Smolna 12
Okładkę wykonano w Zakładach Graficznych „Społem", Łódź, ul. Andrzeja Struga 63. B-19924

Józef Niemiec

ORGANIZACJA SPÓŁDZIELCZOŚCI SPOŻYWCÓW W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Spółdzielczość spożywców w Związku Radzieckim jest trzonem całego radzieckiego ruchu spółdzielczego. Wskazuje na to nie tylko ilość spółdzielni, sklepów, członków spółdzielni, czy obroty, lecz także ciężar zadań społeczno - gospodarczych, jakie są udziałem spółdzielni spożywców w planowej gospodarce Związku.

Delegacja polskich spółdzielców, która w grudniu ub. r. na zaproszenie spółdzielców radzieckich miała możność zetknąć się z organizacją i działalnością radzieckiej spółdzielczości w ogólności, miała również możność poznać spółdzielczość spożywców i jej wkład w obecną pozycję ruchu spółdzielczości w Związku Radzieckim. Doświadczenia spółdzielczości radzieckiej są niezmiernie cenne dla wszystkich spółdzielców w innych krajach, a specjalnie dla tych, których kraje prowadzą gospodarkę planową.

Z tych względów wydaje mi się za pożyteczne i wskazane uwypuklić w przeglądzie działalności spółdzielni spożywców w Związku Radzieckim właśnie ich gospodarkę planową, ponieważ metody pracy w tym zakresie mogą być cennym przyczynkiem dla ustalenia pracy spółdzielczości polskiej, stojącej u progu pierwszego generalnego planu gospodarczego.

ORGANIZACJA LOKALNEJ SPÓŁDZIELNI SPOŻYWCÓW

Podstawowym ogniwem systemu spółdzielczego jest wiejska spółdzielnia spożywców. Działalność jej polega na sprzedaży towarów przemysłowych dla wsi przez duże sklepy o szerokim asortymencie, towarów spożywczych przez sklepy specjalne, prowadzeniu zakładów wyżywienia (stołowni, herbaciarni), drobnych zakładów wytwórczych, jak: piekarni, warsztatów szewckich, krawieckich, ślusarskich, uprzęży, szwalni itp. oraz gospodarstwa rolniczego dla zaopatrzenia swoich stołowni i pracowników oraz skupu towarów pochodzenia rolniczego dla państwa (obecnie po cenach rynkowych dla swoich sklepów w miastach) i surowców do fabryk, jak len, wełna, sierść, włosie, skóry surowe itd.

Spółdzielnia wiejska obejmuje parę osad i prowadzi przeciętnie 7—8 sklepów; tylko w 481 rejonach istnieją duże spółdzielnie spożywców, obejmujące cały rejon („Rajpo"). Organizacja wewnętrzna spółdzielni jest oparta na stosowanych w wszechświatowym ruchu spółdzielczym zasadach spółdzielczych, uwzględniających w najszerszej mierze zasady demokratyczne. Członkostwo jest dobrowolne. Statut spółdzielni przewiduje, że udział nie może być mniejszy niż 50 rb., spłacany ratami w ciągu 2 lat. Członkiem spółdzielni może być każdy obywatel, który ukończył 16 lat.

Najwyższą władzą spółdzielni jest Walne Zgromadzenie, które wybiera w tajnym głosowaniu Prezesa i Zarząd (5—7 osób) oraz Komisję Rewizyjną na okres 2 lat. Co kwartał odbywają się zebrania członków dla wysłuchania i przedyskutowania sprawozdań zarządu i komisji rewizyjnej z działalności i wykonania planu, przyjęcia nowych członków, zatwierdzenia czy odwołania obsady kierownictwa sklepów itp. Do prawomocności uchwał potrzebna jest obecność 2/3 liczby członków.

Spółdzielnie wiejskie zrzeszają się w **REJONOWE ZWIĄZKI „RAJPOTREBSOJUZY)".**

Związek rejonowy obejmuje przeciętnie 7—9 wiejskich spółdzielni spożywców. Członkostwo nie jest poparte udziałami, natomiast spółdzielnie wpłacają do 10 proc. czystej nadwyżki na organizacje wyższego rzędu. Związek rejonowy prowadzi działalność rewizyjno-instruktorską i gospodarczą. Pierwsza wyraża się pomocą w organizowaniu nowych spółdzielni, instruowaniu gospodarczym i organizacyjnym, pilnowaniu sprawozdawczości i wykonywania planów, dokonywaniu raz na rok ustawowej rewizji, utrzymując w tym celu rewidentów i instruktorów.

Na czele związku rejonowego stoi Zarząd Związku i Komisja Rewizyjna, wybrana przez zjazd przedstawicieli spółdzielni rejonowych na okres 2 lat. Związek rejonowy ma prawo zawiesić władze spółdzielni, jeśli nie spełniają swoich obowiązków należycie, z tym, że decyzja ta musi uzyskać zatwierdzenie walnego zebrania członków spółdzielni w ciągu miesiąca.

Działalność gospodarcza polega na prowadzeniu handlu hurtowego i skupie płodów rolnych przez spółdzielnie i bezpośrednio, na prowadzeniu własnych zakładów wytwórczych, ustalaniu cen detalicznych na towary, na które cen nie ustaliło państwo. Związki rejonowe prowadzą także w siedzibie rejonu uniwersalne bazary, t. zw. „Uniwermagi". Dla prowadzenia działalności hurtowej związki rejonowe posiadają składy towarowe, w których zaopatrują się spółdzielnie, jednak bez przymusu kupna. Mogą nabywać także towary bezpośrednio w obwodowym związku lub w składach państwowego przemysłu, w zrzeszeniach spółdzielni przemysłu chałupniczego, czy zakładach przemysłu miejscowego, jeśli ze względów gospodarczych, komunikacyjnych jest im to wygodne. Spółdzielniom wiejskim natomiast nie wolno spełniać roli pośrednika i sprzedawać towarów hurtowo innym spółdzielniom.

Następnym ogniwem organizacyjnym są

ZWIĄZKI OBWODOWE KRAJOWE I REPUBLIKAŃSKIE („Obłastnyje", „Krajewyje" i „Respublikańskije Potrebsojuzy").

Związki te obejmują swoim zasięgiem wszystkie wiejskie spółdzielnie danego obwodu, kraju czy republiki i ich związki rejonowe, poprzez które wykonują prace wobec spółdzielni. Polega ona na dwutorowej działalności, jak rejonowego związku. Organizacja demokratycznego samorządu jest taka sama jak w rejonie, z tą różnicą, że władze związku są wybierane na okres 4 lat. Prowadzą duże bazy skupu nadwyżek płodów rolnych i mają w swojej administracji urządzenia składowe do magazynowania, mają też w siedzibach swoich obwodów, republik hurtowe składy towarowe, jeśli ich nie prowadzi przemysł. Związki te obejmują przeciętnie 25 rejonów, a moskiewski nawet 59 rejonów (leningradzki 32). Praca zarządu związku dzieli się na poszczególne wydziały: handlowy (sprzedaży), zakupów, wytwórczości, ekonomiczny i planowania, kadr, finansowy i inne.

Najwyższym organem radzieckiego ruchu spółdzielczego jest

CENTRALNY ZWIĄZEK („Centrosojuz" ZSSSR i Ros. FSRR).

Do „Centrosojuzu" należą: 63 Obwodowe związki spółdzielcze RFSRR., 15 republikańskich związków spółdzielczych, 1 centralny związek rybackich spółdzielni spożywców (jako autonomiczna sekcja „Centrosojuzu" z własnym zarządem).

„Centrosojuz" prowadzi działalność handlową, zaopatrzenia konsumentów i skupu ziemiopłodów, centralizując w sobie wszystkie obroty ze spółdzielniami poprzez związki rejonowe i obwodowe.

„Centrosojuz" nie prowadzi hurtu tych towarów, których bazy posiada przemysł, natomiast kieruje 5-ma głównymi Wszechzwiązkowymi Zjednoczeniami Handlowymi dla specjalnych branż przekazanych mu przez przemysł, są to: 1) kolonialno - gastronomiczne, 2) galanteryjno - perfumeryjne, 3) skórzano-szewskie i szklane, 4) szkła, porcelany, wyrobów żelaznych, farb, oleju, pokostu, lakierów, 5) handlu ziarnem siewnym. Poza tym są jeszcze: Zjednoczenie dostaw materiałów budowlanych i żelaznych dla budownictwa wiejskiego w tych rejonach Rosyjskiej Republiki, które były pod okupacją niemiecką oraz Zjednoczenie dla skupu kartofli, warzyw, owoców, jaj, mięsa, drobiu, surowców gospodarstwa wiejskiego, odpadków (złomu), ziół lekarskich i jagód leśnych. Stosownie do tych zadań aparat „Centrosojuzu" składa się z odpowiednich wydziałów. Ważniejsze z nich są: wydział handlu towarami spożywczymi, przemysłowymi, skupu i magazynowania art. pochodzenia rolniczego, piekarnictwa i art. zbożowych, wydział gospodarstw wiejskich (dla krajów przybałtyckich, gdzie nie ma kołchozów, a są indywidualne drobne gospodarstwa rolne), wytwórczości własnej.

Najważniejszym jednak zadaniem Centralnego Związku jest planowanie gospodarki całego systemu spółdzielczości spożywców. Obejmuje ono dziedziny handlu, skupu i magazynowania, wytwórczości, wypieku chleba i ogólnego wyżywienia. Planowanie zaczyna się od „Sielpo" i przechodzi przez wszystkie ogniwa, uzgadniane do „Centrosojuza", plany muszą być jak najbardziej realne w przewidywaniach. Plan rozbija się na kwartały. Plan zawiera rozmiary obrotu towarowego (z wyjątkiem świadczeń od kołchozów), ilość, jakość, asortyment towarowy, rozmiary własnej produkcji, potrzebną sumę kredytów, koszty ogólne itd. Przepracowany plan przedkłada „Centrosojuz" do „Gosplanu" głównego urzędu planowania państwowego przy Radzie Ministrów Związku Radzieckiego. „Gosplan" zatwierdza plan wg możliwości gospodarczych i polityki państwa. W szczególności zatwierdzeniu podlegają: zaopatrzenie w artykuły przemysłowe, stopa kosztów, ogólny poziom płac, liczba pracowników. Na podstawie zatwierdzonego planu, który wtedy staje się częścią planu państwowego, „Centrosojuz" składa zamówienia przemysłowi, zawiera na nie umowy, daje rozdzielniki na poszczególne towary do odbioru przez związki rejonowe, obwodowe, względnie organizuje dla nich załadunki wprost do składów związków. Plan opracowywany jest przez Główny Dział Planowania.

Związek łączy w sobie obok działalności czysto gospodarczej i planowania, także działalność rewizyjną i lustracyjną spółdzielni lokalnych i ich związków, zgrupowaną w osobnym dziale Związku. Prowadzona jest według ogólnie przyjętych zasad przez rewidentów i instruktorów, których zadaniem m. inn. jest kontrola przygotowania i wykonania planu przez poszczególne spółdzielnie. Rewizja i kontrola działalności „Centrosojuza" sprawowana jest przez Komisję Rewizyjną Związku.

Władze Związku t. j. Komisja Rewizyjna i Zarząd powoływane są na okres 4 lat przez Zjazd Pełnomocników Republikańskich i Obwodowych Związków Spółdzielni.

Z placówek wytwórczych „Społem"

Młyn w Pabianicach

Kompleks budynków przy ul. Partyzanckiej nr. 8 w Pabianicach — to **Młyn Mechaniczny „Społem".** Ongiś przedsiębiorstwo prywatne w odrodzonej Polsce zgodnie z ustawą, uległo upaństwowieniu, a następnie od 29 maja 1945 r. zostało na zasadach dzierżawy przejęte pod zarząd „Społem".

Młyn jest nowocześnie urządzony i zatrudnia w chwili obecnej 90 pracowników, w tym 70 fizycznych. Produkcja dzienna wynosi 120 ton mąki żytniej i pszennej 80-cio proc.

W pierwszym roku swojej pracy Młyn wykazał pewne straty, ale już w roku 1946 dał nadwyżki, a to dzięki przemiałowi na wolny rynek, dokonywanemu obok zleceń urzędowych.

Obroty tego przedsiębiorstwa w okresie od 29. V. do 31. XII. 45 roku wynosiły zł. 5.500.000, a w roku 1946 osiągnęły już kwotę 104.000.000 zł. Na rok bieżący preliminowano obroty na sumę 200.000.000 złotych.

Na specjalne podkreślenie zasługuje wzorowa czystość, wszechwładnie panująca w tym doskonale prowadzonym przedsiębiorstwie. Zboże przed przemiałem przy pomocy specjalnych aparatów ulega gruntownemu oczyszczeniu z pyłu i innych zanieczyszczeń. W tych warunkach przemiał jest idealnie czysty, dając mąkę naprawdę wysokowartościową.

Kierownictwo Młynu spoczywa w ręku p. dyr. Michała Bojarskiego, który prowadzi to przedsiębiorstwo od maja 1945 r. doprowadzając tak ważną dla naszego życia gospodarczego placówkę do obecnego poziomu. (a).

Wytwórnia Odzieży w Łodzi

Zgodnie z zapowiedzią podajemy przebieg drugiej naszej wizyty w jednej z placówek wytwórczych „Społem". Odwiedziliśmy mianowicie **Wytwórnię Odzieżową „Społem" w Łodzi, ul. Żeromskiego 98 tel. 118-51.**

Jest to jedyna tego rodzaju placówka w Polsce. Rozpoczęła ona swą działalność w początku listopada 1945 r. Założycielem jej był p. Wincenty Sikorski, wieloletni działacz spółdzielczy, z zawodu krawiec, który do dnia dzisiejszego jest jej kierownikiem.

Wytwórnia objęła budynek fabryczny przy ul. Żeromskiego 98, który do jej celów należało przystosować. Obecnie zajmuje ona całe pierwsze piętro tego budynku. Lokal ten jest już obecnie zbyt szczupły. Wytwórnia zabiega o pozyskanie dwóch dalszych pięter, co pozwoliło by na znaczne poszerzenie jej działalności, oraz zatrudnienie około 1.000 ludzi (obecnie Wytwórnia posiada 130 pracowników i 60 maszyn).

Wytwórnia pracuje tylko na potrzeby „Społem" produkując ubrania robocze, a więc: płaszcze ochronne, kombinezony, fartuchy, płaszcze podróżne, ubrania dla straży przemysłowej, burki dla konwojentów i t. p.

Obroty handlowe osiągnęły w 1946 roku 24 miliony złotych. Mogły by one być kilkakrotnie większe, lecz stoi temu na przeszkodzie szczupłość lokalu.

Kierownikiem administracyjno - handlowym jest p. Soter Horyd, znany od lat dwudziestu działacz spółdzielczy, którego energia i umiejętności organizacyjne wróżą Wytwórni dalszy pomyślny rozwój. (a).

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

Ulubione przysmaki

Nie wiadomo właściwie dlaczego — pączki i faworki smakują najlepiej w karnawale.

PĄCZKI

Pączki bardzo często „kapryszą" — nie udają się. Udadzą się one tylko wtedy, gdy wszystkie dodatki, jak mąka, mleko, masło, nawet stolnica i wałek będą ciepłe. W kuchni też musi być ciepło. Tłuszcz w którym smażymy pączki musi być mieszany: wieprzowy, czyli smalec z topionym masłem. Do odwracania pączków służy nie widelec, ale skręcony w pętelkę drut. Pączków nie wolno kłuć widelcem: pokłuty pączek nasiąknie tłuszczem i opadnie na dno. Ciasto powinno rosnąć tylko jeden raz, t. zn. już po nadzianiu i wykrojeniu. Podajemy dobry i tani przepis. Proporcja ta powinna dać około 50 pączków.

1½ szklanki letniego mleka podzielić na trzy części. W jednej rozpuścić 3 dkg. drożdży i postawić w ciepłym miejscu. Do drugiej dodać 15 dkg. masła i roztopić. Do trzeciej wbić 4 — 6 żółtek i dobrze rozkłócić. Do ogrzanej miski przesiać 60 dkg. mąki, wsypać małą łyżeczkę soli, dodać 10 dkg. cukru, kieliszek araku i resztę dodatków. Wybijać ciasto najmniej pół godziny, musi ono być bardzo wolne. Natychmiast rozciągnąć je na ciepłej stolnicy, rozwałkować na grubość palca, poznaczyć krążkiem, nie wycinając do końca, nakładać suchą konfiturę, przykryć drugą połową ciasta, przyciskając dookoła palcami. Znów wykroić ostrym wycinaczem krążki, ułożyć na ogrzanej, posypanej mąką serwecie i ustawić w cieple, gdzie powinny wyrosnąć do podwójnej objętości. Rzuca się je następnie na roztopiony tłuszcz, wierzchem na dół, przykrywa się rondel pokrywą i smaży przez 3 minuty, odwraca się drutem, smaży dalsze 3 minuty, wyjmuje i posypuje miałkim cukrem, póki jeszcze gorące. Należy smażyć pączki po 3 — 4 naraz w małym rondlu, tłuszcz powinien sięgać do połowy wysokości naczynia. Pączki będą z pewnością smaczne i lekkie jak puch!

FAWORKI CZYLI CHRUST

Do 9 żółtek dodać ćwierć kilo mąki, 1 kieliszek araku, pół filiżanki od kawy — cukru (pudru). Wszystko to lekko zagnieść i bić wałkiem przez kwadrans. Potem cienko rozwałkować, krajać w paski, przewijać przez dziurkę wykrojoną pionowo przez środek paska, smażyć na gorącym smalcu. Gdy zarumienią się z jednej strony, przewrócić na drugą stronę, wyjąć półmisek i posypać cukrem z wanilią.



Tydzień mody

1) Śliczna popołudniowa suknia z wełny w liliowym kolorze. Spódniczka owija figurę i suknia robi wrażenie „deux pieces" — dwuczęściowej. Skromna, a zarazem elegancka całość.

2) Na wiosnę duże powodzenie będą miały komplety, składające się z trzech części. Spódniczka wąska, kamizelka bez wyłogów, innego koloru niż cały kostium, żakiet luźny, o dużych naszywanych kieszeniach i wyłogach. Jest to wygodny strój, który przy pomysłowości naszych pań, z zastosowaniem coraz innej kamizelki lub bluzki, będzie miał zawsze wygląd nowy i świeży.

Rozstrzygnięcie II Konkursu „Tygodnia" na rebusy i krzyżówk

Drugi Konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki wywołał nie mniej duży oddźwięk u Czytelników od pierwszego, świadczy o tym duża ilość nadesłanych odpowiedzi i miłe listy uczestników konkursu. Zamieszczone zadania okazały się dość trudne, toteż zaledwie dwie osoby rozwiązały prawidłowo wszystkie rebusy i krzyżówki. Drogą losowania Komisja przyznała:

Pierwszą nagrodę — 2.000 zł. Erazmowi Grójnackiemu, Warszawa, Mickiewicza 27 m. 128. Drugą nagrodę — 1.000 zł. p. Aleksandrowi Gawrońskiemu, Ruda Pabianicka, ul. Demokratyczna 33 m. 6.

Dalsze nagrody pieniężne w drodze losowania za rozwiązanie 11 zadań (z ogólnej liczby 12) otrzymali:

1.000 — p. Witold Nowicki, Warszawa, ul. Starynkiewicza 5 (Dyrekcja Wodociągów i Kanalizacji),

500 — p. Dorota Niemcowa, Bielsko, ul. Zielona 10 m. 4,

500 — p. Wiesław Nowicki, Warszawa, Lindleya 14 (Izba Skarbowa),

500 — p. Władysław Lubnar, Zgierz, ul. Szczęśliwa 1,

500 — p. Stefan Filipski, Zgierz, ul. Parzęczewska 6,

500 — p. Bronisława Waszczyńska, Łódź, ul. Pabianicka 55 m. 2.

Prenumeraty kwartalne „Tygodnia":

p. Mirosława Dobrucka, Świder koło Warszawy, ul. Majowa 12 (10 zadań),

p. dr. Stanisław Kaszubski, Otwock, ul. Żeromskiego 4 (10 zadań),

p. Jerzy Bielenia, Kraków, Al. Mickiewicza 55 m. 18 (10 zadań),

p. Władysława Stępińska, Warszawa, Grochowska 98 m. 9 (10 zadań),

p. Stanisław Kamuski, Józefów koło Błonia, cukrownia (10 zadań),

p. Aleksander Gąsinowski, Warszawa, ul. Grażyny 13 (10 zadań),

p. Czesław Zaborowski, Chełmża, ul. Strzelecka 5 (10 zadań),

p. Lech Kamiński, Warszawa, Plac Narutowicza 5, pok. 812, Dom Akademicki (10 zadań),

p. Janusz Janiewicz, Sosnowiec, ul. Żymierskiego 48 m. 6 (9 zadań),

p. Halina Braumanowa, Gorlice, Spółdzielnia „Sierp" (9 zadań),

p. Zdzisław Bierna ki, Częstochowa, ul. Mickiewicza 40 (9 zadań),

p. Piotr Skurczyński, Częstochowa, Al. Wolności 11 m. 53 (9 zadań),

p. Tadeusz Szczudłowski, Lublin, Szopena 9 (9 zadań),

p. Ignacy Janowski, Łódź, Piotrowska 25 — 47 (9 zadań).

Na listy i zapytania uczestników Konkursu odpowiemy w następnym numerze.

Przyznane nagrody wyślemy pocztą.

TRZECI KONKURS „TYGODNIA"

NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

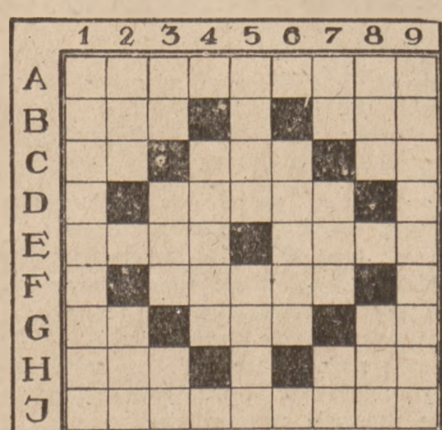
W numerze 3 (27) ogłosiliśmy III konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników wprowadzamy nagrody książkowe.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:
30 nagród książkowych,
20 nagród — prenumerata kwartalna „Ty godnia".

Za prawidłowe rozwiązania każdego za dania przyznane będą 3 punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowie dzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 1 kwietnia br. do Red. „Ty godnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

KRZYŻÓWKA

Ul. Ludwik Jasiński



Znaczenie wyrazów: Poziomo: A. 1. Zatoka między Attyką i Argolidą. B. 1. Rzeka w Jugosławii. B. 7. Spójnik: wszak, przecie. C. 1. Symbol chemiczny pierwiastka. C. 4. Imię żeńskie. C. 8 Miara. D. 3. Potrawa. E. 1. Czas między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. E. 6. M. w płd. Francji. F. 3. Roślina ogrodowa rosnąca we Włoszech. G. 1. Zaimek. G. 4. Skrót zw. sport. G. 8. Inicjały kompozytora polskiego z w. XIX, autora opery „Flibustierowie". H. 1. Wykrzyknik. H. 7. „Jeden" w ob. języku. I. 1. Miarkownik, moderator.

Pionowe: 1. A. Zastępca podkomorzego. 2. A. Określenie lek. w równych częściach. 2. G. Córka Zeusa. 3. A. Egipski bożek słońca. 3. D. Izba, sypialnia. 3. H. Król Bazanu. Amorejczyk. 4. Nauka moralności. 5. A. Wnętrze kościoła. 5. F. Miejsce schronienia. 6. C. Nadanie wyższej rangi. 7. A. Fon. litera. 7. D. Niski głos kobiecy. 7. H. Wykrzyknik. 8. A. Zdrob. imię żeńskie. 8. G. Część beczki. 9. A. W Turcji najwyższa godność wojskowa.

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy Czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia **PRZEZNACZAMY 150 zł. NAGRODY**

●

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymał drogą losowania Władysław Niemczyński z Przemyśla, ul. Zielińskiego 19, za nadesłanie poniższego wycinka z „Dziennika Polskiego" nr 332.

MATEMATYKA

„W ciągu kilku zaledwie miesięcy istnienia w Polsce kin objazdowych, kina te odwiedziły 400 miejscowości, dając 700.000 seansów z dwoma milionami widzów".

Obliczmy krótko. Dwa miliony widzów było na siedmiuset tysiącach seansów. Ilu widzów przypada na jeden seans? Dzielimy dwa miliony przez siedemset tysięcy. Otrzymujemy dwóch widzów i trzy czwarte. Przyjmijmy te trzy czwarte za jedno dziecko. Razem trzech widzów. A więc jeden seans oglądało trzech widzów. Czy taka frekwencja się opłaca?

MATEMATYKA WYŻEJ

„Warszawa otrzymała samoczynne zgarniacze UNRRA, które ładują same i wyrzucają ziemię i gruz... Imponujące były bulldożery... Bulldożer usuwa około 150 metrów sześciennych gruzu przez 8-godzinny dzień pracy, podczas gdy furmanka potrafi wywieźć zaledwie 10 m sześc. Gdybyśmy mieli w Warszawie nie 6 takich maszyn, lecz 6000, za rok po gruzie warszawskim nie byłoby śladu. („Życie Warszawy" nr 350).

A skoro mamy sześć, to ile lat?

SZCZYT MATEMATYKI

„Dziennik Zachodni" (nr 344/658) w artykule pt.: „Stan szkolnictwa w Polsce" podaje:

„Mamy w Polsce 705.561 szkół średnich w miastach oraz 144 takież szkoły na wsiach. Jeden nauczyciel przypada przeciętnie na trzech uczniów, a w każdej szkole średniej zatrudnionych jest 92 nauczycieli".

Mnóżmy 92 nauczycieli przez 705.705 (705.561 plus 144). Otrzymujemy 64.924.860 nauczycieli.

Mnóżmy tę liczbę przez trzy, aby się dowiedzieć, ilu mamy w Polsce uczniów... Ale róbmy to spokojnie; bez nerwów i bez żadnych śmichy-chichy, tak jak się rozwiązuje zadania matematyczne.

●

PRZYGODY W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

„Ziemia Pomorska" drukuje z numeru na numer wierszowane przygody więźniów w niemieckim obozie. Każda przygoda jest ilustrowana. W nr. 355/578 tego pisma, szanującego cierpienia ludzkie, widzimy szereg więźniów w pasiakach, sprężonych przed potwornym strażnikiem, obok zaś leżące rury jak gdyby kanalizacyjne. Wierszyki opiewają:

„Raz, gdy stał w długim szeregu,
Że najmniejszy, był wyśmiany...
Patrzy w pole: same rury.
Ha! to dobre na ucieczkę.
Odpilnował dobrą chwilę.
Gdy już rura blisko była —
Hop! Skoczył wnet za milę.
Nad uchem kula świsnęła.
Buch do rury śladem ptaka,
Przestrzeń pod sobą połykał,
Lub też wolno śladem raka,
Z rury do rury przemykał".



Stefania Grodzieńska

LIST OD ALICJI

TRAGEDIA KOBUSIEWICZOWEJ

Moja kochana!

Nie masz pojęcia, jak mnie przygnębiły te ostatnie wypadki! Od czasu, kiedy ten Blok zwyciężył, dzieją się same okropne rzeczy. Już samo ich zwycięstwo wystarczyło, żeby nam popsuć humor. Mówię oczywiście o moim towarzystwie z kawiarni „Pod Czterdziestym Dziewiątym Hektarem", bo tem Kowalski cieszy się, jak gdyby rzeczywiście stało się coś przyjemnego. Nic dziwnego. On od początku pracuje, nie zajmuje się żadnymi interesami, których nie uznaje ta ograniczona Komisja Specjalna, a nawet powiem Ci w zaufaniu, że nie zna się na kursie waluty! Mówi, wyobraź sobie, że go to nie interesuje. No to co go w ogóle interesuje? Dla takich ludzi, jak Kowalski to może i na rękę, że się to wszystko ustabilizowało i że odpadła ostatnia nadzieja na jakąś zmianę. Ale dla nas to katastrofa. Do ostatniej chwili liczyliśmy na jakąś interwencję i teraz wszystko zawiodło. Oni nawet mają zamiar zlikwidować Ministerstwo Informacji i Propagandy! To znaczy, że będzie straszny głód, bo to, że można było wszystko dostać w sklepach, to przecież była tylko propaganda. To samo z kolejami, pocztą i wszystkimi innymi dziedzinami, które dotąd funkcjonowały. Teraz, kiedy im już propaganda nie jest potrzebna, oczywiście to wszystko stanie. Ale tym nie będę się przejmować, bo mnie jeszcze stać na samochód. Z poczty i tak nie korzystam, bo przecież cenzura otwiera wszystkie listy i pisze po swojemu, podrabiając charakter pisma wysyłającego. Tak, że to wszystko można by jeszcze przeboleć. Ale są inne, groźniejsze następstwa tych wyborów. Moi znajomi mają szalone kłopoty.

Na przykład w nieprzyjemnej sytuacji jest Kobusiewiczowa. Kobusiewiczowa mianowicie zamieszkała z tym przystojnym Patałowskim, z którym łączą ją silne więzy duchowe i sklep z metalowymi przyborami, który sobie wspólnie otworzyli. Bardzo dobrze im się powodzi. Kobusiewicz natomiast jest w Anglii i przysyła jej od czasu do czasu trochę sucharów i konserw, żeby Kobusiewiczowa nie umarła z



Kobusiewiczową łącza z tym Patałowskim silne więzy duchowe i sklep z przyborami metalowymi.

głodu w Polsce, doszczętnie ograbionej przez wojska sojusznicze. Kobusiewiczowa zaklina Kobusiewicza w każdym liście, żeby przypadkiem nie wracał do kraju, bo tu panuje taki teror, że każdego Polaka, powracającego z zagranicy najpierw witają z wszystkimi honorami i fotografują do pism, a potem pakują do nieopalanego sleepingu i wywożą na Sybir. Przekonała go też, że każdy, kto dostaje list z zagranicy, idzie na trzy lata do więzienia, więc Kobusiewicz pisuje do niej tylko przez okazje. Żeby jej nie narażać. Jednak Kobusiewicz jest uparty i wciąż pisał, że jakby nie było, on chce wracać. Kobusiewiczowa bardzo się zdenerwowała, bo znając charakter Kobusiewicza nie miała żadnych złudzeń, jak on po powrocie zareaguje na silne więzy duchowe, łączące ją z Patałowskim i na ten wspólny sklep z przyborami metalowymi. Wpadła więc na wspaniały pomysł i napisała do Kobusiewicza, żeby czekał tam cierpliwie na wybory, bo jest nadzieja, że wszystko się zmieni i wtedy się postanowi, co dalej. A przypuszczała, jak my wszyscy, że dą tych wyborów w ogóle nie dojdzie i w ten sposób będzie mogła kontynuować silne więzy duchowe i sprzedaż przyborów metalowych z Patałowskim. Tymczasem wybory się odbyły i Kobusiewicz na pewno wróci. Wprawdzie Kobusiewiczowa zaraz po wyborach napisała do niego, że wybory zostały sfałszowane i żeby jeszcze poczekał co będzie, ale nie ma wielkiej nadziei, bo właśnie wszyscy ci, którzy czekali co będzie, mają zamiar teraz wrócić do kraju. Szalony zjazd się szykuje na wiosnę. Kobusiewiczowa jest okropnie zdenerwowana i już poczyniła kroki w kierunku sprzedaży swojej części sklepu z przyborami metalowymi. Co do silnych więzów duchowych, to Patałowski wyprowadził się z mieszkania i tym samym uległy one rozluźnieniu. Tak to wybory oprócz wszelkich nadziei zburzyły spokój domowego ogniska.

Nie dziwisz się więc pewnie, moja droga, mojemu ponuremu nastrojowi.

Mimo to pozdrawiam Cię

Twoja Alicja.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



FRANCJA. — Ukazała się efektowna seria z widokami słynnych świątyń francuskich z dopłatą na rzecz pomocy zimowej: 1 + 1 f — czerwony (Saint—Servin w Tuluzie), 3 + 2 f — czarny (Notre Dame du Port w Clermont—Ferrand), 4 + 3 f — brunatnoczerwony (St. Front w Perigueux), 6 + 4 f — ciemnoniebieski (St. Julien w Le Mans) i 10 + 6 f — ciemnooliwkowozielony (Notre—Dame w Paryżu).



ZSRR. — Ciekawe i oryginalne znaczki wydano z okazji 25-lecia pierwszych sowieckich znaczków. Seria składa się z trzech wartości. Na znaczku 15 kop (czarnym) między parowozem a okrętem, na tle zarysów mapy Zw. Radzieckiego widzimy miniatury 9 znaczków wydanych w czasie wojny. Znaczek 30 kop (zielony) ma między różnymi emblematami reprodukcję znaczka 40 rub z 1921 r. (Michel nr 139) a pod tym napis: „Pierwszy sowiecki znaczek pocztowy". Na znaczku 60 kop (również zielonym) znajdujemy montaż 19 różnych znaczków sowieckich.

W 19-tą rocznicę rewolucji wyszedł znaczek 30 kop (czerwony): u góry medalion z sylwetkami Lenina i Stalina, a pod spodem widok Kremla i mauzoleum Lenina.

(wo).

Reprodukowanych znaczków użyczyło nam Biuro Filatelistyczne T. Gryżewski (Łódź, Piotrkowska 47).

UROCZY MANEKIN

Miss Gracie Woods w sukni wieczorowej prezentowanej na Rewii Mody w Londynie przed wyjazdem Rewii do Stanów Zjednoczonych.





PORTRETY SŁAWNYCH LUDZI

opracował Bolesław Busiakiewicz

JAN-HENRYK PESTALOZZI

12.I.1746 — 17.II.1827

(z okazji 120-ej rocznicy zgonu)

Jan-Henryk Pestalozzi urodził się w Zurychu. Mając zaledwie lat 6, stracił ojca i wychowywał się na wsi u dziadka, który zajmował stanowisko miejscowego pastora i nakłaniał chłopca, aby poświęcił się teologii, ale wrodzona wyobraźnia z jednej strony, z drugiej zaś wrodzona niepraktyczność odwodziły go od zamierzeń zostania zawodowym teologiem, tym więcej, że próby kaznodziejskich jego wystąpień — doznały fiasca. Porzuciwszy foliały scholastyków przerzucił się do nauk prawniczych, ale i one nie dały mu poszukiwanej satysfakcji.

Bodźcem decydującym o wyborze pracy było dla Pestalozziego zetknięcie się z dziełem Rousseau „Emil". Pod wpływem tej lektury postanawia głosić ideę konieczności oświecania i wychowywania ludu, ułatwiając w ten sposób, pochodzącym ze sfer niezamożnych, zdobycia uczciwej pracy na niwie przede wszystkim rękodzielnictwa.

W tym celu powołał do życia rodzaj internatu dla 50-ga dzieci biedaków. Całe swoje mienie i wszystkie swoje siły poświęcił temu dziełu — niestety po kilku latach zmuszony był ten zakład wychowawczy zlikwidować.

Żeby jednak częściowo wcielać w czyn swoje wychowawcze idee, pomysły i cele — wydrukował w publikacji swego przyjaciela Iselina pt. „Efemerydy" zbiór głębokich myśli i aforyzmów, a w rok później powieść pt. „Leinhard i Gertruda" nazwaną przezeń oryginalnie „romansem moralnym". W utworze tym wykazał wszystkie bolączki ubóstwa klas niższych oraz jego przyczyny, jak również podał szereg rad, któreby temu losowi wydziedziczonym mogły dopomóc.

Dopiero w 1798 r. powierzono mu ogólne kierownictwo i główny zarząd wielkiego zakładu wychowawczego dla najbiedniejszych i sierot, ale ówczesny niepokój (rewolucja) pokrzyżował realizację tego pięknego projektu i Pestalozzi zmuszony był przyjąć obowiązki zwykłego nauczyciela w miejscowości Burgdorf, skąd przy pomocy rządu przeniósł się z czasem do Iwerden.

Tutaj wyszły spod jego pióra dzieła najważniejsze, z dziedziny metodyki wychowania jak np. „Księga dla matek" albo „Jak Gertruda uczy swoje dzieci" i in., które zaczęły stabilizować jego rolę i znaczenie na terenie jego dotychczasowej działalności.

Toteż nie należy się dziwić, że najwyższe władze kantonów szwajcarskich wybrawszy spośród najgodniejszych reprezentantów Szwajcarii do Paryża — wybrały również i Pestalozziego. Miał on na miejscu w Paryżu, zorientować się jakie i które z nowowprowadzonych zasad i metod życia społecznego nadają się do przeszczepienia na grunt szwajcarski. Po pewnym czasie wrócił z Francji, ale rozczarowany. W międzyczasie zakład Pestalozziego zdobył sobie już i rozgłos i uznanie, a jego twórca szacunek ogółu. Przez Szwajcarię fama rozeszła się po całej Europie.

Instytut wychowawczy Pestalozziego przygotowywał na wzorowych nauczycieli, zjeżdżano się w tym celu ze wszystkich stron. Mając lat 80, wrócił do swego azylu w Neudorfie, gdzie na krótko jeszcze przed zgonem napisał swą „łabędzią pieśń", mianowicie dziełko pt. „O przeciwnościach mego losu". Umarł w Argau w 1827 roku.



Nie dziwcie się drodzy organizatorzy i działacze terenowi, jeśli zaproszony kiedykolwiek przez was dla wygłoszenia odczytu, ogólnie szanowany znany prelegent prof. Pedraś w wyznaczonym terminie zjawi się na podium i postawi na stoliku przed sobą własną — wyjętą z teczki — szklankę i karafkę z wodą, niechętnym ruchem usuwając podobny zespół naczyń uprzednio dla niego przygotowany.

Zamiast poddawać się zaskoczeniu i zdumieniu, lepiej postarajcie się pokrótce zapoznać z życiem prelegentów, a wszystko będzie dla was jasne i zrozumiałe.

Co to jest prelegent? Jest to człowiek, występujący zazwyczaj w sztuczkowych spodniach, który zgodnie z zasadą „mało myśleć, dużo mówić", stara się czynić to możliwie długo i grzmiąco, aby oczarować brzmieniem głosu przede wszystkim siebie samego. Tym się tłumaczy znany fakt, że większość z nich mówi z zamkniętymi oczami, dzięki czemu muzyce samooczarowania nie przeszkadzają uboczne wrażenia wzrokowe.

Poza tym żaden prelegent nie może się obejść bez zapasu wody, bulgocącej w karafce o bulwiastym przeważnie kształcie. Woda zwilża podniebienie, neutralizuje chrypkę, woda odświeża głos i czyni go bardziej donośnym. W związku z tym należy zauważyć, że nigdy szanujący się prelegent nie wystąpi w nieogrzanej sali albo pod gołym niebem w mroźny dzień: woda bowiem może zamarznąć i marny wówczas czeka go, szanującego się prelegenta — los.

To jednak, co pewnego razu uczyniono — dla głupiego prawdopodobnie kawału, a może przez niską zazdrość— z wodą cenionego prof. Pedrasia zasługuje na najwyższe potępienie i wyrazy szczerego ubolewania, jednocześ nie zaś niech będzie przestrogą...

Było to podczas jego odczytu o przemyśle, (a gdzie — na razie wolimy zamilczeć ze względu na wrodzoną nam dyskrecję).

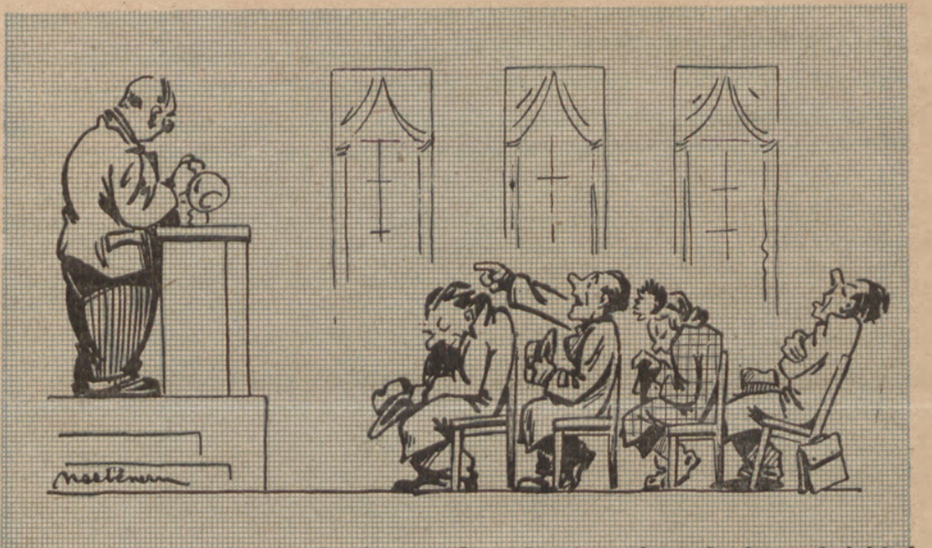
Mówił więc prof. Pedraś o przemyśle, jak zawsze, dobierając przy tym sugestywnych w wydźwięku słów i jak



„Sądzę, że dyrektor Durant wróci do biura za jakieś 2—3 lata".
(La Bataille-Paris)

zawsze zamykając oczy, aby nic nie przeszkadzało owej wspomnianej muzyce samooczarowania. Porwany jak każdy dobry mówca, własną elokwencją oraz gestami, nawet nie wyczuł po skosztowaniu wody, że smak jej był jakiś odmienny, cierpki, przypominający raczej tzw. wódkę niż H_2O, czyli normalny, ustalony w odpowiednich proporcjach związek tlenu z wodorem, który ze względu na ogromne rozpowszechnienie ' niezmiernie ważną rolę, jaką odgrywa w przyrodzie — cytujemy z encyklopedii Gutenberga!—można uznać, wbrew lekkomyślnemu poglądowi poetów, ślusarzy, krawców i szewców, za najważniejszy związek chemiczny.

Otóż profesor nie tylko nie wyczuł, że woda nie jest wodą, ale po wypiciu dwóch szklanek nabrał nawet powiedzielibyśmy, szczególnego przekonania do płynu, z którym przedtem mało miał w życiu do czynienia i zwilżał



Porwany własną elokwencją nie wyczuł po skosztowaniu wody, że smak jej był jakiś odmienny...

nim podniebienie częściej, niż zwykł to kiedyindziej czynić.

W miarę zwilżania prof. Pedraś coraz bardziej się ożywiał, bieg jego wywodów nabrał cech jakiejś zygzakowatości czarującego nieskoordynowania. Doszło do tego, że nagle profesor zmienił zdanie, potępiając cały przemysł jako taki i zaczął wychwalać Kolumba, by po chwili opowiedzieć nieco już spokorniałym słuchaczom dzieje bitwy pod Płowcami, którą podług niego stoczyła niejaka Anna Jagiellonka z Menelikiem Abisyńskim.

Potem przerwał, wytrzymał efektowną pauzę i rzucił rozpaczliwą prośbę pod adresem sali:

— Nie dłubcie w zębach kaloszami, bo mi to strasznie przeszkadza!

Mimo iż słuchacze byli przyzwyczajeni do różnego typu prelegentów i ich odmiennych sposobów bycia, to przecież poczuli się nieswojo, jako że nikomu z nich nawet przez myśl nie przeszło, aby dłubać w zębach kaloszami.

I może długo czuliby się nieswojo, gdyby nie to, że profesor przyskoczył do tablicy, zerwał z niej i z apetytem spożył dwa ilustrujące prelekcję wykresy wzrostu produkcji przemysłowej — spożył, zatoczył się pod ścianę i zachrapał.

Jeszcze przed tym zdążył krzyknąć:
— Madziu zgaś lampę! (Madzia ,jak można się domyślać, to chyba imię żony szanownego prelegenta).

W tym samym mniej więcej czasie na sali rozległ się, rzucający pewne światło na przebieg wydarzeń czyjś gniewny głos:

— Wódkę, psiakrew, zamiast wody profesorowi podali! Graaanda...

Nie ma miejsca na sprzeciwy: rzecz jasna, że granda i świństwo!



...spożył, zatoczył się pod ścianę i zachrapał.

Dlatego też nie dziwcie się, drodzy organizatorzy i działacze terenowi, jeśli zaproszony przez was kiedykolwiek... i dalej jak na wstępie niniejszego tekstu.

Od i do Redakcji

P. Alicja Sosnowska w Gołkowie. W najbliższym czasie ogłosimy nowy konkurs. W związku z przeniesieniem „Tygodnia" do Warszawy format pisma uległ nieznacznemu zmniejszeniu.

P. Roman Uwodzicielski w Mysłowicach. Narazie nie możemy drukować całości książki Melchiora Wańkowicza pt. „Bitwa o Monte Cassino" do czasu skomunikowania się z autorem książki.

P. Edward Walawski w Rzeszowie. Z nadesłanego artykułu nie skorzystamy. Za słaby.

P. Bolesław Skwarta w Warszawie. Wykorzystamy.

P. Włodzimierz Dylis w Rembertowie i P. I. Buhład w Krakowie. Zastosujemy się do życzeń. Prosimy tylko o cierpliwość.

P. Justyn Sokulski w Krakowie. Honorarium za zamieszczone zdjęcia prześlemy pocztą. Niewykorzystane zwrócimy. Artykuł prosimy nadesłać. O ile chodzi o wspomnienia rocznic, to w odpowiednim czasie zamieścimy okolicznościowe artykuły. Dziękujemy za przypomnienie.

P. Aleksander Maliszewski w Warszawie. Prosimy o próbki.

P. Kazimierz Skoś w Oświęcimiu. Pisze Pan „mimowoli wziąłem do ręki pierwszy w tym roku, a 25-ty z rzędu numer tygodnika „Tydzień", którego dotychczas nie miałem okazji nigdy przeglądnąć. Jakże wielkie zdumienie mnie ogarnęło, gdy tak przeglądając kartkę za kartką, ujrzałem tyle ciekawych artykułów i ilustracji. Najwięcej zaciekawiły mnie artykuły naukowe, które mnie uczniowi IV klasy gimnazjalnej dużo mogą pomóc w nauce, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy podręczniki szkolne są tak drogie. Postanowiłem sobie w tej chwili kupować go stale. Rozpowszechniłem go także wśród swoich kolegów. I jakże się zdumiałem, gdy po godzinie przyszło 4-ch z nich niosąc ze sobą tygodniki „Tydzień", dziękując mi za powiadomienie o tak ciekawym tygodniku ilustrowanym". Komplet numerów z 1946 r. wysyłamy pocztą.

P. Jerzy Jagliński w Lublinie. Zdjęcia raczej gładkie. Format obojętny, pożądane większe. Niewykorzystane zwracamy.

P. „Bezet" w Świdnicy. Przekazaliśmy P. Red. Wyszomirskiemu do oceny.

Anegdoty historyczne

SZCZYT ROZTARGNIENIA

Wielki matematyk i fizyk francuski Ampère (1775—1836) był nieprawdopodobnie roztargniony. Oto na ten temat jedna z tych anegdot, jakich krążyło mnóstwo.

Ampère miał dwa ulubione koty: jeden był duży i poważny angora, drugi — mały, figlarny kociak. Rozpieszczone przez swego pana, przeszkadzały mu ustawicznie w pracy, drapiąc we drzwi jego gabinetu, chcąc tam wejść albo wyjść. Znudzony ciągłem otwieraniem drzwi, Ampère wezwał stolarza.

— Proszę mi wyciąć — rzekł do niego — dla moich kotów dwa otwory u dołu tych drzwi, jeden większy, drugi mniejszy, tylko niech pan uważa, żeby były ściśle dostosowane do wymiarów moich ulubieńców.

— Panie profesorze — odpowiedział, zaskoczony tym pomysłem stolarz — czy koniecznie trzeba wycinać dwa? Wystarczy jeden większy.

— Jakto? — zapytał Ampère, marszcząc w skupieniu czoło, jakby rozwiązywał wielkie zagadnienie matematyczne:



— A w jakiż sposób będzie mógł wchodzić mniejszy kot?